

№-454

DZIENNIK
CZŁOWIEKA NIEPOTRZEBNEGO

1314

Stanisław Piłun-Nowyński

STANISŁAW PIŁUN-NOYSZEWSKI

DZIENNIK
CZŁOWIEKA
NIEPOTRZEBNEGO

POWIEŚĆ



XIX

WARSZAWA

NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH. SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF — KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
POZNAŃ — M. NIEMIERSKI

TEGOŻ AUTORA:

AKORDY. *Poezye.*

POWSTAŃCY. *Powieść.*

POUR PASSER LE TEMPS. *Szkic powieściowy.*
(*Wyczerpane.*)

HENRYK SIENKIEWICZ, WIELKI POWIEŚCIO-
PISARZ.

GRZECHY I GRZESZKI. *Nowele. (W druku).*



53101

PRZEDRUKI NIEUPRAWNIONE PRZEZ AUTORA
WZBRONIONE.

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE CO DO TLÓMA-
CZEŃ I T. D. W ROSJI, ZAREZERWOWANE NA
ZASADZIE USTAWY Z DN. 3-GO KWIETNIA 1911 R.

TOMKOWI

W UPOMINKU SERDECZNYM

PRACĘ TĘ POŚWIĘCAM

COPYRIGHT BY STANISŁAW PIOLUN-NOYSZEWSKI, NINETEEN
HUNDRED EIGHTEEN.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

k-205175154471

Są chwile, zresztą dość rzadkie, że zadaję sobie pytanie, czy jestem człowiekiem chorym, czy też otaczający mnie świat niedomaga zbytkiem ordynarnego zdrowia.

Nie mógłbym twierdzić, że ludzi i rzeczy nie nauczyłem się pojmować i że wobec nich stoję, jak człowiek obcy przed zamkniętą, w nieznanym mu języku pisaną księgą. Daleki jestem też od uczuć jakiegoś zapoznanego bajronowskiego bohatera, który sądzi, że świat go odtrącił i swą »złamaną« duszę pławi z lubością we własnym cierpieniu.

Na rzeczy te umiem patrzeć z politowaniem wyższości, jak na najprostsze prymitywy sentymentu uczniów i nieuków.

Przeciwnie: nauczyłem się już oddawna rozumieć świat, a co najważniejsza — samego siebie. Posiadłem smutną umiejętność wynajdywania bankructwa każdej wartości, — demaskowania czczości każdego komunau, zwanego ideą, — odkrywania drutów i kleju w skrzydłach każdego

geniusza, głupoty w każdej mądrości, prawdy we wszelkich złudach, które tworzą fikcyę szczęścia człowieka.

W szczególności zaś wydoskonalilem w sobie sztukę autoanalizy. Analizy ciąglej, wlokącej się za mną, jak nie niknąca zmora, która dręczy chłoscze, ale do której mam dziwne przywiązanie.

W rezultacie czuję się sobie i światu niepotrzebny.

Stałem już w zenicie przewartościowania życia, w przystani cichej obojętności, pokrywającej zdolność do jakichkolwiek wzruszeń i porywów.

I jeśli trwam, mimo wszystko, w stanie dalekiego wprawdzie od wybuchów, ale ustawicznego podrażnienia, to przyczyna tego stanu tkwi tylko w poczuciu irytującego faktu, że — jestem.

Jestem... a więc muszę wlec nadal tę niepotrzebną egzystencję, muszę patrzeć na to puste, wrące dokoła mnie życie, na tych oklamujących się i rozczarowujących ludzi, na tę całą śmieszna fikcyę bytu.

Mógłby kto sądzić, że należę do rzędu typowych kandydatów na samobójcę. A jednak nie. Sam nie wiem dlaczego, lecz myśl ta przywołuje mi zawsze na usta uśmiech pobłażliwej ironii.

Może winna temu owa zdolność odsłaniania słabych stron banalności w każdym czynie.

A przecie i samobójstwo także jest *czynem*.

Do czynu zaś przejmuję mię zawsze niewytłomaczona jakaś odraza. Czuję się doń poprostu niezdolny. Nie przez słabość, lub brak odwagi, ale z tej racyi, że każdy czyn jest dla mnie prostym synonimem kłamstwa.

Mam mocne przekonanie, że po spełnieniu każdego czynu przychodzi zawsze przeświadczenie o nicości dokonanego dzieła, przeświadczenie o samooklamywaniu — o tem, że mniemany czyn był taką samą fikcyą, jak wiele innych.

A przytem samobójstwo nie daje mi bynajmniej gwarancyi, abym mógł uciec przed samym sobą. Przed aktem tym cofa mię także w pewnym stopniu owo dziwne przywiązanie do samoudręki, o którym już wspomniałem.

Owo nieustanne wdzieranie się do własnej jaźni, to roztrząsanie różnorodnych reakcyi, jakie zjawiska świata zewnętrznego i wewnętrznego zdolne są jeszcze budzić w mojej duszy, — jest jedyną rozkoszą, której jeszcze doznaję.

Rozkosz to sadystyczna poniekąd, tem niemniej jednak cenię ją, bo nie jest złudą.

Zżyłem się z nią, jak skazaniec z kajdanami.

Nie dają mi one zadowolenia — to prawda, ale wolę je stokroć od jakiejś innej formy życia. Zdaje mi się, że przewartościowałem je wszystkie i nie umiałbym już znaleźć nic, z czembym się wewnętrznie zgodził tak, jak teraz.

Mimo lat trzydziestu paru, czuję się niekiedy starcem.

Mówię: niekiedy, bo czasem ogarniają mnie jakieś krótkie momenty zapomnienia.

Mam jednak tyle wydoskonalonych metod przywoływania trzeźwości, że chwile te są z biegiem czasu coraz rzadsze. Zresztą wrażenia, pochodzące z poza mego własnego świata, trafiają do mnie z trudnością. Sam zagroziłem i zatarałem wszelkie ścieżki, po których życie gromady ludzkiej mogłoby wkraść się do mojej duszy.

Z ludźmi nie żyję wcale.

Okres życia, kiedy jeszcze, przynajmniej z imienia, należałem do rzędu zwykłych światowców i razem z całą najpospolitszą pod słońcem bandą matołków i filistrów byłem dekoracją five o'clocków, zabaw, salonów, modnych kawiarni, łóż teatralnych, rivier i badów, — zaliczam do przeszłości.

Im przeszłość ta bardziej jest odległa, tem większej doznaję ulgi.

Wniknąć w ów tłum, wsączyć się weń i roztopić w jego plugawej masie nie mogłem. Po prostu zbrakło mi po temu zdolności. Podziwiam tych, którym się to udaje. Dzieło — nielada, a jednak ludzie są w niem urodzonymi artystami. Nie pozostawiają nawet kół falowania na powierzchni głębi, w którą skaczą.

Dezercya moja z wirów życia stała się w swoim czasie pewnego rodzaju sensacją. Byłem przecie kandydatem na pierwszorzędnego viveur'a, salonowca, a przedewszystkiem na małżonka jednej z tysiaca mniej lub więcej efektownych gąsek.

Przez długi czas byłem dla ludzi zagadką. Dziś przestali się już mną interesować.

Wiem, że gdy czasem rozmowy dystygowanych pań i panów potrażą o me nazwisko, darzą mię mnóstwem najsprzecznějších epitetów. Zwą mię w domysłach ascetą i rozpustnikiem, odludkiem i egoistą, neurastenikiem wreszcie, lub nie-szczęśliwie zakochanym romantykiem.

Nie nazywają mię tylko nigdy cynikiem.

I w tym splocie nedorzecznosci oddają mi bezświadomie słuszność. Cynikiem nie jestem; — aby nim nie zostać, wolałem uciec od ludzi. Gdybym wśród nich pozostawał, zszedłbym niechybnie do rzędu tych najwstrętniejszej kategorii kreatur, jakie chodzą po ziemi.

Cynizmem gardzę, jak każdą brzydotą i banalnością, narówni z ośmieszoną szopką samobójstwa.

Odsunąłem czarę życia, nie przesyciwszy się nią, ale zakosztowawszy jej niesmaku. Spoglądam w nią — niedopitą nawet do połowy — i nie mię do niej nie pociąga.

Nie przewiedłem w ramionach kobiet, nie zgłę-

bilem odmętów użycia, a jednak poznałem uczuć tych pustkę, przechodząc ewolucję wzgardy i politowania.

Ludzie są dla mnie dziwnie smutnem zbiorowiskiem. Smutnem przez bezmyślność swego czczego zła, czczych ideałów, bezcelowych zabiegów, śmiesznie tragicznego kłamstwa...

Jak jakieś niewiarogodne stado, które nie wie, czem jest, po co żyje i w jakim celu odgrywa tę fatalną komedję.

Kiedy po długim procesie psychicznym poznałem wartość życia tak, jak je dziś oceniam, uczułem jedno rzeczywiste i świadome pragnienie: wyjść poza to błędne koło małych i wielkich krzywd i rozczarowań, nie dać się porwać trybom druzgocącej maszyny absurdu, stanąć na jakiegokolwiek mieliźnie, byle się zbyć uczestnictwa w tem, czego nie umiem kochać, ani niena-

widzieć, — byle ten świat tłum nie był *moim* światem.

Pragnienie moje ziściło się. Dziś życie dalekie jest ode mnie, ja od życia.

Nie przewiduję niczego, co by mię mogło rzuścić w fale jego namiętności, które nie będą nigdy mojemi. Paradoks ludzki nazwałby, że stanąłem ponad niem; język prostoty, że stanąłem gdzieś na uboczu, w charakterze niezbyt gorliwego obserwatora.

Obserwatorem tym jestem tylko z konieczności. Aby uniknąć obserwacyi, musiałbym pomiędzy sobą a ludźmi zbudować jakąś konkretną, materialną bodaj zaporę; aby się jej wszakże oddać z lubością, należałoby mieć coś w rodzaju ukochania jej przedmiotu.

Światem moim jestem ja sam.

Może świat ten nie jest tak barwny i ciekawy, możeby w nikim nie wzbudził zazdrości, — a jednak, ilekroć spoglądam na zawrotny wyścig ludzkiego rojowiska, doznaję uczucia, któremu świat dalby pewno etykietę cichej rozkoszy.

Jakiś milczący tryumf, że umiem być temu wszystkiemu taki obcy i daleki, że nie poddałem karku w jarzmo bezsensu, że świat mój *tamtym* światem nie jest.

Sumienie zwierzęcia towarzyskiego zupełnie we mnie zamarło. Wiem, że nie mam żadnych społecznych cnót, ani wiar i że z ludzkiego punktu widzenia należy mi się miano jakiegoś niepotrzebnego rupiecia, lub pasorzyta, a mimo to, czuję się wobec siebie zupełnie usprawiedliwiony.

Przed trybunał samooskarżenia powołałbym się raczej dopiero z chwilą przywdziania maski, którą klamałbym ludziom fałszywe cnoty.

W rok później.

Wpadło mi w ręce te kilka kart, napisanych przed rokiem.

Jest we mnie jakaś wielka cisza spokoju, daleka od uniesień i patosu. Nie uczuwam ani smutku, ani zadowolenia.

Z założonemi rękoma czuję błogosławieństwo jasnej myśli, pozwalającej na trzeźwą ocenę wszelkich zjawisk.

Sądzę, że dobrze się stało, że w takiej właśnie chwili odczytałem te moje notatki o samym sobie. Rozważam je teraz na chłodno, bo zbudziły we mnie szereg refleksyi.

Tak jest: na chłodno. Bo przecież nie ulega wątpliwości, że przed rokiem musiałem być niezłomnie przekonany, że myślę i piszę zupełnie obiektywnie, że stwierdzam istnienie pewników i prawd.

A jednak w kartach tych znajduję wszystko, prócz obiektywizmu.

Odzywa się z nich jakby jakieś niepohamowane: Ewoe! na powitanie zwycięstwa, odnie-

sionego nad życiem, technie koturnowy patos tryumfowania i wyzwoleń ze wszystkich oków, będących udziałem tłumu.

Jest w nich podniecenie i coś z gminnej pychy duchowego parweniusza.

Oto niewątpliwe czynniki, które złożyły się na to, że mimowoli skreśliłem obraz swej psyche w liniach buńczucznie śmiałego i dalekiego od rzeczywistości schematu.

Określiłem się, jako wielkość zdecydowanie wiadomą, arytmetyczną nieomal, gdy tymczasem sfinks skomplikowanej duszy człowieka zdradza mi co dnia nowe tajemnice. Kreśliłem rzuty proste, choć na rysunku winny były wystąpić odchylenia i nierówności.

Są chwile, gdy cała, tak mozolnie wzniesiona budowa mego widzenia poczyną mi się rysować i giąć, jak wątła cieplarniana roślina. Są inne, gdy cały mój systemat wydaje mi się być stosem rumowia, z którego już nic stworzyć nie potrafię.

I wtedy z mej urojonej siły nie zostaje mi nic, prócz słabości i pustki, jaką musi uczuć

bankrut, który stracił dorobek magnackiej fortuny.

O chwilach takich wspomniałem wprawdzie i poprzednio. Z jakąż jednakże dyskrecją, jak bardzo nawiasowo!

Powiedziałem, że czuję się niekiedy starcem. Czy jednak istotnie tylko w momentach zapomnienia, narzucanych mi przez świat zewnętrzny? Czy w mym świecie własnym nie czają się żadne niebezpieczeństwa? Życiu i ludziom nie zazdroszczę niczego — to prawda. Cenię też i tę tak bardzo gloryfikowaną przed rokiem mą niezależność duchową, cenię może dlatego, że jest ona jedynym skarbem, jaki posiadam.

Że jednak, obok istotnych zadowoleń, daje mi ona gorycz, a nawet czczość, że ciąży, jak brzemię udreki, że plami wszystko, co, będąc innym człowiekiem, mógłbym uważać za piękne, — budzi się we mnie nieraz dziwna tęsknota za młodością.

Tęsknię za samym sobą z przed lat. Z przed wielu, wielu lat. Za duszą, spoglądającą w życie oczyma naiwności. Oczyma, które wierzą w te piękne złudy, zwane poezją i szczęściem. Które się śmieją do kwiatów i nie widzą zgnilizny. Które odruchowo ubierają w wdzięczne obłonki to, czemu już ludzkość oddawna dała strój fantazyi.

I zastanawiam się wtedy, na co zdała mi się

cała, tak nieopatrznie, a tak pilnie i skrzętnie zarazem zdobywana mądrość życiowa. Czy nie wyświadczyłem nią sobie najgorszej przysługi? Czy potrzebnie przestępowałem ów próg, poza który nigdy się już nie powraca? Czy mogę zaprzeczyć, że, pozostając zwykłą dwunożną istotą, biorącą à la lettre wszelkie kłamstwa o walorach bytu, — cierpiałbym może wiele, ale może też miałbym i wielkie radości?

A przedewszystkiem, wiedziałbym, że żyję i miałbym poczucie fikcyjnej choćby życia tego celowości, podczas gdy teraz celowość ta jest dla mnie zagadką, a raczej nawet nią nie jest.

Niczego nie pragnę, na nic nie czekam, nigdzie nie dążę...

Czy tak więc, czy inaczej, przyznać muszę, że egzystencja moja jest czcza, marna i niepotrzebna.

I smutna...

Choćbym, nie wiem jak prawdę tą osłaniał, nie wiem jak frazesami swej kruchej koncepcji żonglował, będą to tylko sofizmaty, które mię nie zdolają przekonać.

Egzystencja moja jest smutna — i czuję to.

Odnajduję w sobie istnienie dwu jakby odrębnych jednostek, z których pierwsza przesłania drugą całkowicie.

Pierwsza — to moje naczelne »ja«, przemożny duch krytycyzmu. Druga — to sponiewierany przezeń przeciętny, pospolity człowiek.

Ilekróć ten mały, znękaný i słaby człowiek zechce odetchnąć we mnie swą suchotniczą pierśią skazańca, tylekróć budzi się czujność wytrwałego strażnika, trzymającego na wodzy wszelkie poziome ulomności.

Ów pierwszy żyjący we mnie osobnik odgrywa tu niejako rolę pana względem niewolnika, zważa nań dniem i nocą, karci każdy mimowolny bunt i zasłania go cieniem swojej wielkości.

Kiedy pospolitość moja odważy się choćby na najniewinniejszą wycieczkę w zakazane dziedziny nastrojów i marzeń, powracać musi niebawem do stóp swego pogromcy, wierna twardej służbie i posłuszna surowemu mentorstwu, które z każdego bohaterstwa czyni jej bańkę mydlaną, w każdym uniesieniu wykrywa dysonans fałszu, a w najkosztowniejszej szacie tanią podszewkę.

I stąd płynie ów rozstrój, owa nerwowość i rozdrażnienie.

Nie umiem się zdobyć na jednolitość, nie umiem być tylko jednym człowiekiem, nie walczyłem w sobie harmonii.

Zyję ciągle w świadomości owego rozdwojenia, które nie wiem dokąd trwać będzie. Zwrot w przeszłość jest już niemożliwy. Ewolucja po drodze ku przekształceniu się w ostateczny jakiś duchowy automat wydaje mi się być też mało prawdopodobną.

Mimo oczywistej przewagi, jaką posiada nade mną owa silniejsza połowa duszy, czuję, że porwy słabości żyją we mnie i żyć będą. Nie odniosą one zwycięstwa nigdy, nie wyrugują tego, co pozostawiło już ślad niezatarty, ale i o własnem istnieniu przypominać mi będą ustawicznie.

Przed rokiem wierzyłem jeszcze w stopniowy ich zanik — dziś wiara ta jest jednym z wielu moich wątpliń.

Czas upływa. Mijają dni, tygodnie i miesiące.

Kontroluję się i porównywan.

Rzecz dziwna: od lat wielu nie doznaję żadnych silniejszych, czy słabszych wzruszeń, nie przeżywam wrażeń, które dla mnie nie istnieją, a jednak zdaję sobie w pełni sprawę, że mój system nerwowy wyczerpuje się i zużywa nieproporcjonalnie szybko.

Wprost zestawić nie umiem siebie z przed roku i dziś.

Moja obojętność, zewnętrzny spokój, chłód — wszystko to staje się coraz bardziej kruche i niepochwytne. Może ta okoliczność, że owa duchowa niesubordynacja powtarza się teraz nieco częściej, sprawia, że przywołuję się do porządku zjadliwymi sarkazmami, które rzucam na wszystko, co w danej chwili psuje mi szyki.

Rodzi to jakąś, nieznaną mi dotąd zawziętość, — jakąś małostkową, wulgarną niemal złość i irytację.

Równowaga zewnętrzna, którą szczyciłem się nie tylko przed samym sobą, ale która pochlebiała mi, jako powszechnie znana moja właściwość osobista, poczyna się psuć i szcerbić.

Wpłynęło to, że w ostatnich czasach usunąłem się jeszcze bardziej od ludzi, ograniczając wszelkie stosunki do minimum, jak notoryczny mizantrop.

Boję się, aby sarkazm, którym walczę przeciw samemu sobie, nie uzewnętrznił się zbyt wyraźnie, abym ja, który zawsze wiedziałem, jak w każdym wypadku postąpię, nie stał się z czasem nieobliczalny.

Był dzisiaj jasny, słoneczny dzień.

Maj. Wiosna w pełni.

W świątecznej rozkoszy Warszawa drga, pulsuje życiem, — pieni się, jak szampan.

Przed witryną modnej kawiarni przepływa fala ludzka, jak potok wartki, szumiący, rozhu-kany.

Młodych, przeżytych, czy starców przenika zgodnie jedna, wspólna wszystkim podnieta radości — oczekiwania. Śpieszą, biegnąc, lub drep-cąc z roześmianymi oczyma, jak chmara ciem, spalać się w ogniu życia, — w ogniu nowych za-wodów, urojonych rozkoszy i konkretnych cier-pień...

Błędne, zawrotne kolisko.

Uderza się w niem o ściany zamkniętego łań-cucha, bruka lub lamie wątle skrzydła, by znów powrócić do tych samych punktów wyjścia i roz-począć na nowo tragikomiczny trud Syzyfa.

W jakim celu?

Puste, zbędne pytanie...

Gdybym je chciał zadawać po kolei, odpowia-daloby mi wrzuszanie ramion, lub śmiech. A może jaki domorosły dobroczyńca ludzkości, schylony twarz w twarz nad śmiałkiem, zduszonym gło-sem rzuciłby nakaz krótki i groźny:

— Milcz! To jedyne ich szczęście. Jedyne, ja-kie jest: szczęście nieświadomości.

Wsluchany w szum tego rojowiska, wpatrzony w to radosne a przecie tak boleśnie smutne miasto, próżno usiłowałem zdobyć się na drgnienie współczucia.

Targnęła mną raczej jakaś zła pogarda, obra-politowaniu nawet. Cały ten barwny tłum, którego przecie ja sam byłem organiczną częścią, stał mi się zagnała wprost nienawistny.

Uciec, gdzieś skryć się, nie patrzeć, nie widzieć, nie myśleć o tem wszystkim! Tak jest: przedewszystkiem nie myśleć!

Wskoczywszy w pierwszą z brzegu dorożkę, kazałem się wieźć za miasto. Wszystko jedno w którą stronę, byle prędko i daleko od ludzi.

Jazda wpłynęła na mnie kojąco. Po gładkiej szosie pojazd niósł równo, konie rwały popisowego klusa, a słońce, zazierające mi w twarz, grało przedziwną tęczą na rzesach przymkniętych powiek.



Jechałem tak — godzinę — może dwie. Czulem, że splywa na mnie ciche błogosławieństwo odrętwienia... Myśli przestawały się kojarzyć. Nikł niepokój.

Nagle zatrzymanie pojazdu i głos dorożkarza przywołały mię do przytomności.

— Panie! Bo my już za Jabłonną! — obrócił się na koźle, sądząc widocznie, że śpię.

— Dobrze. Dalej nie pojedziemy, — sformułowałem leniwo, wysiadając z dorożki.

— Jaśnie pan każe zaczekać? — pytał służący, zgarniając sowitą zapłatę.

— Nie trzeba, — wróćę pociągiem.

Na lewo od szosy czerniał las. Sośnina, — potem zagajniki, młode, bujne, rozśpiewane pogwarem ptasząt i — na szczęście — bezludne.

Powlokłem się ospale, zaszyłem w gęstwę, przebrnąłem jakieś mokradła i siadłem wreszcie na mchu, oparty o pień poskręcanej sosny. Przez szmat nieba przesuwały się białe rozpierzchłe obłoki, wierzchołkami szumiały podmuchy, dołem rozsnuwała woń wczesnych storczyków.

Mijały godziny senne, bezmyślne. Nieczulość, niewiedza i obojętność — obejmowały umysł i członki.

Niejasno zdawałem sobie sprawę, że radbym tak przetrwał życie, — wieczność całą.

szany bładem światłem posepnego dnia, lub przyćmionej umbrelką lampki elektrycznej.

Gorączka ciągła, lekka ale trawiąca — bez zjaw. Apatya, bezsilność, stan ustawicznego półsnu i wyczerpania.

Jest mi tak dobrze. Czuję, że cały ów zgiełk, przewalający się pod czaszką, cichnie, opada, rozplywa się w kojącej niewiedzy.

Była to podobno malarya. Tak, czy inaczej, — jest mi to zupełnie obojętne. Wiem jedno, że, zachorowawszy, przestałem cierpieć i dlatego boję się chwili absolutnego wyzdrowienia i powrotu do niedawnej przeszłości.

Pobył w lecznicy i dłuższe oderwanie od życia i samego siebie — dokonały we mnie ciekawej, choć nie wiem, czy trwałej zmiany.

Świat, ludzie — nie budzą we mnie zgoła żadnych już reakcyi.

Nie myślę o niczem. Poruszam się, jak automat, jak żywy trup.

Od tygodnia jestem u siebie. Muszę być bardzo zmieniony. Służba przesuwa się koło mnie w milczeniu, a zapytuje szeptem, jak na pogrzebie.

Tak jest: zgrałem się do ostatniej nitki. Sądziłem, że coś zdobywam, rozkoszowałem się tem czemś, jak skarbem, a dzisiaj widzę, że to ja sam własnymi rękoma zastawiłem na siebie pułapkę

i że nie mam przed sobą nic, tak jak nic za sobą nie pozostawiam.

Tamci... wszyscy inni — mają jeszcze wspomnienia. Miraże szczęścia rozwiewają im się szybko, — zostaje rzeczywistość szara, niekiedy brudna, ale godzina wspomnień pozwala mirażom wskrzesnąć, odbicie złud powraca, ucieleśnia się... Przeżywają je po raz wtóry, dziesiąty...

A ja? Ja wspomnień nie mam. Wspomnienia moje — to zmory, które żyją.

Dziś rano przyniesiono mi depeszę.

Przyznaję, że mię to nieco zdziwiło. Nie mam osoby tak bliskiej, by o jej śmierci wypadło mię tak nagłąco powiadamiać, — interesy moje zaś są na to zbyt ustalone i pewne.

Otwieram z zaciekawieniem. Parę wyrazów:

»Zobowiązysz mię, czekając w poniedziałek o szóstej na dworcu. Mam kłopoty. Potrzebna mi twa pomoc i rada. Wybacz.

Wojśławska«.

Nie rozumiem. Wojśławska? Poniedziałek: to dziś.

Sprawdzam adres. Najwyraźniej do mnie.

Kto to może być Wojśławska? Depesza zredagowana w drugiej osobie, jak do kuzyna. Przebiegam myślą wszelkie wspomnienia o koligacjach, ale bezskutecznie. Żadna ze starych ciotek nazwiska tego nie nosi, zresztą prawdopodobnie

powymierały już wszystkie. Z kuzynek za lat chłopięcych żyłem bliżej tylko z jedną jedyną Stefą Brzeską. Łączyła nas nawet nić sympatii, krótkotrwałej coprawda i wymazanej obustronnie z pamięci.

Życie rzuciło nami w dwie różne strony. Ją wydano za mąż, mnie pochłonęły egzamina, a później... Nie wiemy o sobie już od lat siedmnastu. Mnie nie interesowało przez ten czas nic zgoła, — ja zapewne co innego...

A jednak w tej formie mogłaby się do mnie zwrócić tylko jedna Stefa. Lecz to nazwisko... Wojsławska? Czyżby jej mąż nazywał się Wojsławski?

Ależ tak! Najwyraźniej Wojsławski. Byłem przecież na ich weselu. Dopiero teraz to sobie uprzytamniam, choć skądinąd nie powinienem się tak bardzo temu dziwić. Nazwisko, słyszane ledwo kilkakrotnie przed tylu laty, mogło się łatwo zatrzeć w mej pamięci.

A więc to Stefa? Ciekawe. Szczególne też, że wie o mem istnieniu i adresie. Snadź się mną do pewnego stopnia interesowała. Choć może niema w tem i nic nadzwyczajnego. Kobiety wogóle mają szczególniejszy talent do przechowywania w pamięci mnóstwa najmniej potrzebniejszych wiadomości, które kolekeyonują z równem zamilowaniem, jak stare guziki, skrawki jedwabiu, kłam-

ry od wycofanych z obiegu pasków i inne rupiecie.

Prawdopodobnie przywozi ze wsi jaką dorastającą dziewczynę na egzamina, które zdemaskują, że guwernantki nie nauczyły jej nic zgoła, — lub też zawezwano ją w sprawie ekstraordynaryjnego zachowania się synalka-urwisza w której ze szkół. Szuka więc osobnika, który chłopcynie wytnie męską surową perorę, a chłopczyną zagra mu za plecami na nosie.

Albo, poprostu, ma za dużo sprawunków. Bywa i tak! Są ludzie, których przekonaniem jest, że ich własne sprawy winny być alfą i omegą świata. Że zaś kobiety są arbitralne... Choć nie... Bredzę... Po siedmnastu latach?

Przewertowawszy rozkłady pociągów, przyszedłem do przekonania, że Stefa może przyjechać tylko na dworzec brzeski. O ile się nie mylę, wyszła za mąż w jędrzejowskie. Zresztą jeden tylko pociąg o szóstej z jakiemiś minutami przychodził do Warszawy.

Zastanowiło mię, że szczegół ten w depeszy pominęła. Nie podpisała się nawet imieniem. Widoocznie sądzi, że los jej obchodził mię w większym stopniu.

Nie wiem, czy mię to ma zawstydząć? Choć przecie był czas, że dziewczyna ta przesłała

mi sobą cały świat. Dobrze, dawne lata... Uczniowska miłość.

Widzę ją teraz, jak żywą. Smukła, rumiana, śmiejąca, ot: wiochna!

Taka zawsze dziewczęca, roztrzpiotana, — tyle radości i uśmiechów siejąca dokola...

Oczy jej tylko, duże, ciemnoniebieskie, jak dwa świeżo rozkwitłe blawaty, klóciły się z rozemśmianą twarzyczką, tając w sobie zadumę jakąś, czy rozmarzenie.

Śniła bo też rojeń bez liku, rojeń tęczowych, barwnych i wierzyła w nie, jak w ewangelię.

Prędko, dziwnie prędko prześnił się sen dziewczęcy. Marzenia z kryształu zgruchotała jedna chwila.

Przyjęła los swój w milczeniu, wylala różaniec bezsilnych lez, ugięła głowę pod jarzmo i poszła bez słowa protestu wyznaczoną koleją.

Tak, zda się, niedawno, a tyle już lat...

Tak niedawno, że widzę się niemal realnie w swoim obcisłym mundurku z rozwichrzoną czupryną, jak, grając z Stefą w obręcz, spojrzeniem ścigam jej oczy ukochane i słyszę jej srebrny, rozkoszny śmiech:

— Zdziechu, jakiś ty niezgrabny, znów przeoczyłeś kółko!

A potem w głębi sadu, gdzieś na darniowej ławeczce chwila zwierzeń, pierwsze słowo kochania, szeptane zcicha, drżącymi usty, — wzajemna

przysięga, w którą się wierzy, że jest mienaruszalna, święta.

Z oddali jakiś głos:

— Stefa! Stefa!

Głos matki, despotyczny, twardy. Dziewczyna drży.

Biegniemy ku gankowi, do sali. W salonie kilka osób, miny sakramentalne, cisza.

Stara Brzeska powstaje. Spogląda córce w oczy.

— Stefa, — wychodzisz zamąż. Ślub w lutym. Trzeba się zająć wyprawą.

Dziewczyna kurczy się w sobie. Pochyla głowę. Nie rozumie. Wreszcie słyhać szept cichy, lękliwy — przez lzy:

— A za kogo, mateczko?

— Pan Wojsławski oświadczył się o ciebie. Wybór uczyniłam właściwy. Podaj rękę narzeczonemu.

Stefa spogląda na jakiegoś jegomościa w średnim wieku, średniej urody, średniej tuszy i elegancyi i średniej zapewne inteligencyi.

Posłuszny krok naprzód.

I... finita la comedia...

Skończyła lat szesnaście, gdy wydano ją za
mąż.

Ostatnie miesiące przed ślubem zmieniły jej
usposobienie, zgasiły uśmiech, zamglily wzrok...
To wszystko.

Matki, kobiety w gruncie dobrej, ale despoty-
cznej i przeświadczonej, że nikt, bardziej od niej,
nie dba o szczęście córki, Stefa bała się, jak ognia;
opozycya przez myśl jej nawet nie przeszła.

Plakała po kącikach i przymierzała suknie.

Na weselu miała ciągle lzy w oczach, ale tań-
czyła dużo, bo przepadała za walcem.

Na uroczystości tej nie potrzebowałem się dra-
pować w smutek, bo czułem się szczerze i do głębi
nieszczęśliwym. Nie powiem, by mię nie frapo-
wała godność družby, coprawda młodszego, lub
nowiuteńki i jak pancierz opięty mundur z blysz-
czącym kołnierzem, w chwili jednak, gdy Stefa
z narzeczonym ukłękła przed ołtarzem, a ksiądz
począł wyluszczać fatalne pytania, uczułem, że
się chwije.

Nie wiem, co mi się w młodej głowinie roilo,
nie wierzyłem przecież w żaden akt skandaliczne-
go heroizmu, jednakże całym wysiłkiem uwagi za-
wisłem u jej ust w oczekiwaniu.

Tymczasem posępne:

— Tak! — padło z warg Stefy sucho, wyraź-
nie, bodaj że nawet za głośno.

Ukryłem się w bocznej kaplicy prezbjterium

i zaplakałem, jak żak, niesłusznie wytargany za
ucho.

Dziś moja wysniona Stefa — zażywna to pe-
wno jejmość, dostatniej talii, zasad swojej nie-
boszczki mamy dobrodziki i zainteresowań tym
więcej filisterskich, im liczniejsza otacza ją pro-
genitura.

Godzina piąta. Jedźmy na dworzec.

Zdaje się, że jestem trochę ciekawy tego strą-
conego bożyszczka szóstoklasisty.

Na dobre pół godziny przed przyjściem po-
ciągu obrałem sobie w sali bufetowej dogodny
punkt obserwacyjny i nad filiżanką czarnej ka-
wy oczekiwałem fali przyjezdnych.

Poczęli wreszcie napływać ze zwykłym zgieł-
kiem pośpiechu, nawoływań, roztargnienia
i gwaru.

Dopiero wtedy przyszło mi na myśl, że w tym
tłumie możemy się nie dostrzedz, lub zgola nie
poznać. Jeśli bowiem zachowaliśmy w pamięci
swój obraz, to były to przecież postacie dwojga
dzieciaków niemal... a dziś?

Wzrok mój w pośpiechu błakał się bezradnie i coraz bardziej nerwowo. Badałem z kolei damy otyle i eteryczne, zaafierowane i spokojne, podstarzałe i młodsze — bezskutecznie.

Przez chwilę uwagę moją zaabsorbowała jakaś ocieźiała niewiasta z czworgiem drobnych dzieciaków i skandalicznie ubraną boną, ale powstrzymałem się w porę. Dzieci były stanowczo za brudne i za kretynowate, aby matką ich mogła być Stefa.

Po kilkunastu minutach opustoszało. Począłem tracić nadzieję.

Gdzieś w progu dwu żydów chandryczyło się jeszcze o bagaż i jakaś drobna, po podróznemu ubrana panienka, też najwidoczniej kogoś oczekująca, przechadzała się niespokojnie wzdłuż sali. Co moment rzucała spojrzeniem wkoło, zakłopotana jakby i zawiedziona.

Uplęnęło jeszcze pięć minut. Zadzwoniłem, zbierając się do odejścia.

W trakcie konferencji z kelnerem najnieoczekiwaniej usłyszałem nad sobą pytanie:

— Przepraszam — czy nie pan Pniewski?

— Tak jest. Czem mogę służyć. Prawdopodobnie ma pani do mnie zlecenie od pani Wojsławskiej?

Przedemną stała moja towarzyszka, panienka w stroju podróznym. Odrzuciła teraz woal i uśmiechnęła się smutnie, blade.

— To ty, Zdzichu? Nigdybym cię nie poznała. Znieruchomiałem. Było to zjawisko dziwnie suggestywne, nieprawdopodobne prawie.

O parę kroków przede mną stała dawna, dziwnie młoda Stefa.

Ona i nie ona.

Te same oczy jasne, niezmacone, dziecinne, — ten sam owal twarzy, ten sam włos bujny, kasztanowaty, wymykający się wąskim, po pensyonarsku otaczającym skronie warkoczem z pod podróznego okrycia głowy.

Ten sam wdzięk, ten sam urok niepospolicie dochowanej młodości, tylko zmieszany z jakimś obcym, nabytym jakby spokojem.

— Dziękuję ci.

Uścisnęła mi rękę ciepło, przyjaźnie, krótko.

— Może pozwolisz za mną. Rzeczy mam już w dorożce. W drodze wytłumaczę ci wszystko.

Szła przede mną pośpiesznie, krokiem pewnym i zdecydowanym. Zauważyłem, że wyrosła niewiele i trochę nawet zeszcupiała. W ruchach dawnej Stefy nie przypominała prawie zupełnie. Lekkie, sprężyste — zdradzały jednak kobietę, dojrzałą już i poważną.

W dorożce zasunęła się odrazu wgląb, opuściła woal i zamilkła w zamyśleniu, czy też czekając, aż wjedziemy na mniej hałaśliwy bruk uliczny.

— Wybacz mi, Zdzichu, — odezwała się wreszcie zwolna, dzieląc słowo po słowie, jakby z na-

mysłem. — Mam ciężkie zmartwienie. Nie wiedziałam do kogo się zwrócić. Wiem, że mię będziesz umiał zrozumieć i nie weźmiesz za złe tej bezceremonialności swej dawnej przyjaciółce. Andrzej... mąż mój, — poprawiła się, — jest chory. Niebezpiecznie chory. Będę zmuszona przewieźć go do Warszawy. Prawdopodobnie nie uniknie się operacyi, skomplikowanej i ryzykownej. Kłopoty te spadły na mnie nieoczekiwanie. Zaskoczyły mię. Jestem, jak zapewne pamiętasz, niezaradna, mało samodzielna, może nie tak, jak dawniej, ale dość na to, by nieraz mieć wrażenie, że to wszystko jest już ponad me siły.

Głos jej załamał się. Domyśliłem się, że stara się nad sobą zapanować.

— A na to jestem ja sama. Sama jedna. Nikogo z bliskich, z życzliwych. Żadnej rady, czy pomocy. Przytem Andrzej, — jak zwykle choroby, — kapryśny; nie da mi odejść na krok. Jestem mu ciągle potrzebna. Moja nieobecność rozstraja go, a przecież jest tyle spraw, któremi trzeba koniecznie zająć się samej. Mąż mój był zawsze silny, zdrowy, czynny, ruchliwy. Nigdy nie uważał za właściwe wtajemniczać mię w jakiegokolwiek interesy. W najlepszej wierze i intencji odgrodził mię od wszelkich trosk istną ścianą i dziś uporać mi się trudno. Obecnie wyrwałam się na dwa dni. Muszę znaleźć pensyonat, zebrać nazwiska lekarzy-specjalistów, ustalić sanato-

ryum, do którego Andrzeja zakwalifikują, omówić warunki, wziąć dwu pielęgniarzy, którzy go ze mną tu przewiozą, — słowem załatwić tysiące spraw, wobec których ręce mi wprost opadają.

Zwróciła na mnie oczy kobiety bezradnej, zmęczonej.

— Pomożesz mi, Zdzichu? Wszak prawda?

Zdawało mi się, że w głębi mej duszy zadrgało nagle coś, obudzone z letargu. Było to szczere, głębokie, przedziwnie ludzkie współczucie, połączone z świadomością jakiegoś nieokreślonego zdumienia, z jakim spoglądałem na Stefę.

Dwa dni, jak głupiec, biegałem po mieście tu i owdzie, starając się dopomódz pani Wojsławskiej.

Spotykaliśmy się w ciągu dnia kilkakrotnie, omawiając poczynione kroki i zastanawiając się nad tem, co pozostaje do załatwienia.

Konferencye to były krótkie, rozmowa urywkowa — o charakterze informacyjnym. Lekarze, na podstawie listów prowincjonalnego eskulapa, zaopiniowali, że mąż Stefy musi się poddać ope-

racyi z perspektywami, jak zwykle, wątpliwemi, ale nieodmiennie koniecznej.

Zamówiwszy pokój w pierwszorzędnej lecznicy, Wojsławska pojechała po męża.

Wróciła w trzy dni później.

Oboje są tu już od tygodnia. Z rozmowy telefonicznej dowiedziałem się, że Stefa dnie i noc spędza przy chorym. Dla siebie wynajęła sąsiednią separatkę.

— Przyjdź, Zdzychu. Odwiedzisz Andrzeja, — kończyła zcicha lekliwą prośbą.

Odpowiedziałem jej wymijająco, nie odmawiając wręcz.

Mimowoli wzruszyłem ramionami.

— Dziwna zachcianka: odwiedzić jej Andrzeja. Ja i jej Andrzej... Wskróś kobieca kombinacja.

Swoją drogą po dwu dniach, znudzony samotnością, przesiedziawszy parę godzin nad bezmyślnymi dziennikami, wsiałem w dorożkę, rzucając adres lecznicy, w której przebywali Wojsławscy.

Postanowiłem zobaczyć Stefę. Nie przeczę, że ta kobieta mię poniekąd zaciekawia i intryguje mię bliższe zbadanie jej indywiduum. Przewidywania, że znajdę w niej zwykłą, sytą i zadowoloną samieczkę, zawiodły. Jasne, dziewczęce niemal, mimo trzydziestu trzech lat, jej spojrzenie każe przypuszczać, że znacznie więcej zachowała w so-

bie cech naiwnej pensyonarki, niż nabyła niesympatycznego filisterstwa.

Czy przypuszczenia moje są trafne, czy Stefa jest istotnie gaską, na jaką wygląda, — nie przesądzam, choć trudno mi w to wątpić.

Jeśli tak — to ciekawe, bądź co bądź, jakim cudem jej duchowa sylwetka uchyliła się od wszelkiej, choćby najpospolitszej ewolucyi. W jakim tedy obracała się środowisku — co robiła przez te siedmnaście lat?

Duży, pięciopiętrowy dom w ogrodzie na jednej z oddalonych od śródmieścia ulic patrycyuszowskich. Dużo zieloności i jeszcze więcej ciszy.

Po kilku marmurowych stopniach dostaję się do vestibulu. Poczekalnia i schody wyłożone wojłokiem, szwajcar w miękkich pantoflach siedzi przy drzwiach do windy, pogrążony w półśnie, czy półczuwaniu.

— Gdzie leży pan Wojsławski?

— Trzecie piętro. Dwadzieścia dwa. Pan pozwoli windą.

— Dobrze. Czy żona jego jest u siebie? Nie wyszła?

— To już felczerka dyżurna objaśni. Także na trzeciem.

Po wyjściu z windy musiałem się udać na sam koniec korytarza do pokoju lekarskiego. Zastąłem tu kilka kobiet, przeważnie brzydkich, względnie

młodych, ubranych w białe szpitalne fartuchy z rękawami. Najstarsza stawiała ze skupieniem pasyansa. Pozostałe były w pełni rozstrząsania jakiejś intrygującej historii, w której nazwiska doktorów powtarzały się raz po raz.

— Przepraszam, — odezwałem się w progu, — czy nie mógłbym się dowiedzieć o numer dwudziesty drugi?

Amatorka pasyansa złożyła karty i spojrzała z pod okularów.

— A w jakiej sprawie? — spytała z rezerwą.

— Osobistej.

— Czy pan z rodziny.

— Tak jest.

— Jeśli pan życzy sobie dowiedzieć się o stan zdrowia chorego, to u lekarza na pierwszym piętrze. Odwiedzać wzbroniono.

— Właściwie chodzi mi o widzenie się z panią Wojsławską. Może jest w swoim pokoju?

Felczerka pokręciła głową z powątpiewaniem.

— U siebie? Co to, to nie. Tego pani nikt nie wytłumaczy. Ani kroku od męża nie odchodzi. Nawet niewiadomo, po co donajęła sąsiedni pokój, bo nie przebiera się, ani nie śpi. Dnie i noce — w fotelu przy chorym. Do siebie jeśli przechodzi, to tylko na naradę z lekarzami. Były tu jakieś panie, podobno kuzynki, czy koleżanki, ale pani przyjąć nie mogła.

— Jakże się sama czuje?

— Nieświetnie. Trudno się i dziwić. Do takiej pracy męczącej nienawykła, to ją też jakby z nóg ścięło. Tłumaczmy, że powinna wziąć pielęgniarską, ale nie da sobie o tem mówić.

— Może jednak uda mi się ją zobaczyć?

— Nie wiem. To od pani samej zależy. Może pan zechce mi dać swą kartę.

Wziąwszy bilet, przeczytała uważnie nazwisko.

— Pan Pniewski. Aha. Pani mówiła, że pana oczekuje. Proszę, niech pan pozwoli. Ja pójdę na przód zawiadomić.

Zatrzymawszy się opodal drzwi, oznaczonych numerem 22, czekałem na powrót felczerki.

Po długiej chwili drzwi uchyliły się z wolna i na korytarzu ukazała się Stefa. Zauważyłem, że oczy miała podkrążone, powieki nabrzmiały bezsennością, a twarz z wypiekami zmęczenia.

Uśmiechnęła się tylko po swojemu, półśłodko i półsmutnie zarazem:

— Jakiś ty dobry, Zdzichu, żeś przyszedł — wyszeptala.

Zakłopotala się jakby i spojrzała mi w oczy z wyrazem prośby.

— Zajrzysz do Andrzeja? Nieprawdaż?

— Ależ, naturalnie, jeżeli mu to nie sprawi przykrości.

— Dlaczego? Przypuszczam, że sobie nawet ciebie przypomni. Będzie to dla niego pewną roz-

rywką. On tak, nieborak, nie lubi samotności. Nie mogę go ani na chwilę zostawiać samego. Poczekaj: to może teraz lepiej przywitasz się z Andrzejem, a później przejdziemy do mego pokoju i tam pogawędzimy. Dobrze? Andrzej się będzie mniej irytował, wiedząc, dlaczego wychodzę i felczerkę uproszę, żeby przysłała pomocnicę, która mię chwilę wyręczy. Pozwól, proszę cię, — tylko cię chutko, ostrożnie. Nie masz pojęcia, jak ta choroba podkopała mu nerwy.

W głębi komfortowego klinicznego pokoju leżał Wojsławski.

Był to właściwie cień człowieka, silnie zbudowanego i rozrosłego, lat około sześćdziesięciu. Pod lysiejącą czaszką znaczyła się bruzdami twarz wychudła, pełna obwisłych fald — z wpadniętymi głęboko oczyma.

Podobieństwa do dawno niewidzianego i mało mi znanego zresztą człowieka doszukać się nie mogłem. Była to jakaś straszna ruina, wstrząsana jeszcze odruchami resztek żywotności i energii. Oddychał szybko, głośno, chrapliwie. Oczy miał przymknięte, ręce ułożone z bezsilną symetrycznością wzdłuż ciała na koldrze. Wychudłe knykcie zaciskały się i rozprężały naprzemian, jak u konających.

Zrozumiałem, że w pokoju tym sam na sam z dogorywającym mogło być pro prostu straszno.

Stanąwszy opodal, spojrzałem na Stefę.

Miała oczy spuszczone. W całej postaci znać było upokorzenie niemal. Zdało mi się, że pragnie uniknąć spotkania mego wzroku, aby nie wyczytać w nim wrażenia, wywołanego zestawieniem ich obojga.

Jego — straszego chorobą i wyniszczeniem fizycznym starca i jej — dziewczęcia nieomal.

Chory uniósł powieki i powiódł oczyma po pokoju, nie dostrzegając nas w półmroku.

— Stefka! — charknął chrapliwie. — Stefka! Stefka! — rzucał niecierpliwie raz po raz.

Targnęło nią coś. Porwało z miejsca. Błyskawicznie osunęła się na kolana przy łóżku męża.

— Jestem... jestem. Co ci potrzeba, Andrzej?

Mimowoli skupilem uwagę. Jakieś intrygujące myśli-pytania poczęły we mnie wirować natrętnie.

Współczucie, czy bojaźń?

Samarytanka, czy niewolnica?

— Widzisz, Andrzej, patrz, kto przyszedł cię odwiedzić. Pewno sobie nie przypominasz? To Zdziś Pniewski, mój kuzyn. Znasz go: był na naszym weselu. Pamiętasz, prawda?

— Aaa.. bardzo dziękuję... panu...

— Tak, dowiedziałem się dopiero niedawno od Stefy... że pan zaniemógł... — bąknąłem bezsensownie.

— A właśnie... Jak pan widzi... chory jestem...

ale to... jakoś tam przejdzie. Przejść musi... Nie inaczej — tak... Prawda, Stefa? Powiedźże panu!...

Przy ostatnich wyrazach ożywił się, zebrał na siłach i skupił. Znać było, że ożywia go jeszcze czynnik potężny: gorące pragnienie życia.

— Andrzeju... uspokój się. Przecież tu nikt nawet nie powątpiewa.

— No, ja wiem. Ja, ty — tak. Ale nie chcę, żeby kto mógł pomyśleć... Z sił tylko opadłem... to najgorsze. I leżeć muszę. Reszta — brednie.

— Nie męcz się. Nie mów tak długo. Wiesz, że doktor zabronił.

— Aha, doktor...

Zmarszczył brwi, skupiając, zda się, rozpierzchające się skrawki myśli.

— Doktor... tak... Stefka! — krzyknął nagle popędliwie, głośno, jakby już zapomniawszy o mej obecności. — Dlaczego nie telefonowałaś do doktora? Nie przyszedł! Miał być. Czemu nie pamiętasz?!

— Nie denerwuj się, Andrzeju, proszę cię... Doktor przyjdzie. Mówił przecież, że przyjdzie o szóstej. Prawda? — pamiętasz? — a to dopiero za pół godziny. No, — widzisz, tak niepotrzebnie się unosisz, a to cię wyczerpuje.

Do pokoju weszła młodsza felczka.

Pod pozorem, że jednak pójdzie do telefonu, Stefa wysunęła się z pokoju chorego, dając mi

znak, że mogę go nie żegnać, gdyż i tak o mnie zapomniał.

Usiadłszy w swym pokoju, w milczeniu wskazała mi krzesło i zadumała się ciężko, wpatrzona w jeden punkt.

Twarz jej miała w sobie zmęczenie i rezygnację.

Splotłszy zwykłym kobiecym ruchem ręce na piersiach, milczała.

Poczułem, że jestem tu zbyt czyny. Chciałem coś mówić, ale ograniczyłem się tylko do stereotypowego pytania o zdrowie Wojsławskiego.

— Bo ja wiem, — szepnęła bezradnie. — Zda je się, że prowincjonalny doktor się pomylił. Tutaj ciągle szukają, naradzają się — i też chyba nie wiedzą. Podobno nowotwór. Prześwietlali go już kilkakrotnie. Zdjęcia nic nie wykryły. A tu gorączka ciągnęła. I cierpi...

Wyszedłem.

Dziwna rzecz. Coś mi się w głowie roi, że jednak ta kobieta mię obchodzi. Żal mi jej. Takie smutne, bezbronne stworzenie...

Sytuacja trwa wciąż tak sama.

Minął już szereg tygodni, odkąd Wojsławscy zamieszkali w ustronnej warszawskiej lecznicy, a zdrowie chorego nie uległo żadnej zmianie ku lepszemu. Lekarze przyznają nawet sami, że nie podjęli dotąd celowych zabiegów i, być może, nie podejmą ich wcale.

Cała pomoc lekarska zamyka się dotąd w ciasnych ramach bezowocnego badania, przypominającego rozpaczliwe błędzenie poomacku.

Jakaś wielka niewiadoma, czy bezradność, ubezwładniła rozum i wiedzę ludzką.

Tymczasem człowiek ten, który w oczywisty sposób nieodwołalnie zamiera, żyje jeszcze i cierpi.

Cierpi, ale nie sam. Życie Stefy jest naprawdę straszne. Przykuta do łóżka tego półtrupa, baczna na każde skinienie, uginająca karku wszelkim zachceniom, ostatnia służebna i korna niewolnica, stała się, jak pozbawiony własnego »ja« automat, jak smutny sprzęt — bez woli, bez myśli indywidualnej, nieswoją prawie egzystencją żyjący.

Każde spojrzenie na tę kobietę przejmuje wprost grozą i bólem, prawie dotykającym. W jej oczach tai się coś z wyrazu poniewieranego niesłusznie zwierzęcia. Usta, skute milczeniem. Ruchy trwożne.

Czy ona go kocha?

Już po kilkakroć na telefoniczną prośbę Stefy, by ich odwiedzić, dałem odpowiedź wymijającą. Czuję do siebie wstręt jakiś i pogardę.

Wiem, że za każdym razem widok jej sprawia mi ból niewytłomaczony i że, unikając tych chwil spotkania, staczam, mimo wszystko, walkę z samym sobą.

Stawiają mnie wobec zjawiska, przed którym cofam się instynktownie. Byłem pewien, że zwalczyłem w sobie wszystkie zagadki, a jednak lękam się, czy nie stoję wobec jednej jeszcze i czy ją zdołam pokonać.

Był czas, kiedy miałem jeszcze ową zachłanność podporządkowywania wszelkich zjawisk imperatywom własnego indywiduum, kiedy z rozkoszą oblałem ostatnie bożyszcza ludzkiej fatamorgany, budując gmach zimnej trzeźwości.

Dziś okres ten już minął.

Wzdrygam się teraz przed nowym procesem odkrywania pustki, w której i tak strwonilem samego siebie.

Kiedy spoglądam na Stefę, doznaję niezwyklego uczucia. Mam wrażenie, że budzi się we mnie na chwilę człowiek, że targa mną jakiś bunt, że

stają się dawnym szarym pionkiem, — istotą dnia powszedniego, która mniej może od innych rozumie, ale za to więcej czuje.

Jest to jakies krótkotrwałe olśnienie, w którym odżywa zdolność współmyśli i współodczuć, — kiedy dłoń odruchowo wyciąga się z darem pociechy i błogosławieństwem ulgi.

Pojmuję wtedy, że na cierpienia tej kobiety niewolno mi patrzeć obojętnie, że winienem ją wesprzeć, lub wyrwać z błędnego koła bezużytecznej ofiary... a jednak...

Tak dziwnie skamieniałem w ciasnym świecie swoich udręczeń, że nie umiem i nie chcę ani krokiem granic jego przekroczyć.

Czyż więc już tak nawykłem do własnej klatki, że braknie mi nawet chęci do wyrznięcia poza stallowe jej pręty? Dziś nawet, kiedy poznałem, że grunt, na którym życie swe oparłem, jest tylko trzęsawiskiem?

Czy lękam się pospolitości?

A czemże ja jestem, jeśli nie takim samym, jak inni, pospolitym człowiekiem, tylko jeszcze marniejszej odmiany...

Wiem, że przyjdzie tu dziś, jak co dnia — i przyniesie z sobą pogodę. Wiem, że pogodę tę, choć wypełnia ona świat cały, dopiero wtedy, jeśli nie zrozumie, to przynajmniej nieuchwytnie odczuwać pocznę.

I to tylko dzięki niej.

Tkwi w tem coś niewytłomaczalnego, — coś, czego nie umiem określić.

Przychodzę tu przecież nie dla niej, choć bezwątpienia tylko po to, by ją tu spotkać. Patrzymy razem w słońce i na kwiaty, lub toczymy bezsensowną akademicką dyskusję o życiu — nie dlatego jednak, by to piękno otoczenia jednakie budziło w nas uczucia, lub by te płytkie poglądy miały coś trwalszego w nas pozostawić.

A jednak te codzienne spotkania stały się niejako naszą potrzebą.

Nie wiem, czy naprawdę potrzebą Stefy, bo zdaje mi się, że jej dotąd nie znam. Jeśli jednak prawdę mówią jej oczy, w których odbija się wtedy tyle cichej słodyczy i spokoju — chwile te są dla niej czemś w rodzaju wypoczynku i odżycia. Jestem pewien, że traktuje mię, jak kogoś bardzo bliskiego, u kogo wprowadzie nie znajdzie słowa pociechy, ani ujęcia dla cichych żalów i trosk — ale zrozumienie.

I dlatego czuję się wobec niej winnym. Bo, co do mnie, do tych codziennych spotkań popchnął mię tylko zimny kaprys egoisty. Znalazłem w tem

nigdy dotąd nie stosowaną rozrywkę w chęci zbadania, co kryje się w istocie pod zewnętrznymi pozorami tej kobiety spokojnej, która nawet własnego cierpienia zdawała się nie widzieć i nie rozumieć.

Czuję się winnym. Zaszła we mnie jakaś trudna do zdefiniowania zmiana i dziś widzę jasno, że ta ciekawość była czemś niesłychanie poziomem i to właśnie dlatego, że chodzi tu o Stefę. Jej jednej nie umiałbym dziś zaliczyć do tłumy, który jest dla mnie masą bez nazwiska. Postać tej kobiety sama przez się w umyśle mym dziwnie się wyodrębnia, jako osobowość indywidualna i na swój sposób niezwykła.

Niema w niej nic z kobiety nowoczesnej. Nazwałbym ją raczej parafianką. Chwilami zdaje mi się, że życie stanęło dla niej w miejscu, że nic w ciągu ostatnich lat kilkunastu się nie zmieniło, że patrzę na dawną, zapomnianą już prawie Stefę, która zachowała całą swą dziewczęcą jasną, świeżą, promienną.

Mam wrażenie, że przeszłość zasnęła w niej, że przeżyła szereg lat zimowego odrętwienia i zdolna jest każdej chwili odkwitnąć, jako mała roześmiana dziewczynka.

Tak jest. Stefa umiała zachować swoją dawną pogodę w sposób przedziwny. Zachowała ją, mimo cierpienie, które, jestem pewien, nie oszczędzały jej serca. To właśnie mię w niej zaciekawia, choć

ciekawość ma straciła już swą obiektywność obcego obserwatora.

Samemu sobie kłamać nie umiem. Mam do czynienia z faktem ustalonym: Stefa mię obchodzi. Los jej interesuje mię dziś serdecznie. Przeszła być dla mnie obiektem doświadczalnym — jest czemś bliskiem.

Pierwszym objawem tej zmiany było współczucie i żal, jaki mną targnął w pokoju chorego Wojsławskiego. Tam spojrzalem twarz w twarz jej cierpieniu. A wydało mi się ono tem boleśniesz, że przezierał przez nie raczej lęk, niż rozpacz.

Instynktownie przeczuwam, że pożycie jej mężem musiało być spokojne, lecz smutne. Ten człowiek pospolity, — człowiek, który napewno nie umiał jej do siebie przywiązać, — człowiek, tak nieskończenie niższy od jej duchowej inteligencji, górował jednak nad nią w ciągu lat całych siłą swego charakteru o typie bezwzględny i brutalny. I mimo to, nie uczynił z niej kobiety, życiowo złamanej. Przygnębienie, jakie obserwowałem w oczach Stefy, znika z chwilą, gdy opuszcza pokój męża, którym się opiekuje z takim poświęceniem i troskliwością.

Dlatego też jest dla mnie nietylko zagadką, ale i przedmiotem podziwu. Jest w niej pogoda dziecka, słodycz kobiety i jakiś męski niezrozumiały hart i równowaga.

Na czem zdołała się oprzeć, co uczyniło z niej

istotę o tak ultrachrześcijańskim samozaparciu się i spokoju — nie wiem. O ile mogę sądzić, źródłem tem nie jest dla niej religia. Ani bigoteryi, ani przechodzącej przeciętną miarę pobożności — Stefa nie zdradza. Czyżby umiała stworzyć sobie swą własną, być może naiwną, ale przecież na swój sposób silną filozofię życia?

Rzecz charakterystyczna, jak dalece myśl moją zagadnienie to intryguje i zaprzęta, wtrącając mimowiednie w dziedzinę zupełnie mi obcą i do niedawna o siedm bajecznych gór odległą.

Wnikają we mnie od pewnego czasu nastroje.

Czyż to nie śmieszne?

Są to nastroje elementarne — prymitywy nastrojów, ale, jak mikrob, drażą już moją duchowość. Patrząc w słoneczne plamy na trawniku i odczuwam nieuchwytną błogość ciszy. Za chwilę rozlegnie się w oddali cichy odgłos czyichś kroków, który rozpoznam, nie unosząc nawet głowy. Wiem, że to idzie Stefa z swym zawsze jasnym uśmiechem Giocondy, że siądzie bez powitania cicho i że, jak nieraz, długie chwile będą nam tak płynęły w milczeniu, a jednak bez cienia nudy, czy odrętwienia.

Nie myślałem wtedy o niczem.

Coś we mnie jeno wnika niepostrzeżenie, coś rozbraja. Wszystko, co jest, wydaje mi się zmorą, kłamstwem. Jakiś niemowny głos zdaje się wołać na mnie po imieniu, jak na małego chłopca.

Nastroje. Czuję całą ich śmieszność i nie bronię się. Gorzej: ja ich dziś pragnę, tęsknię za nimi, w nich znajduje coś ze straconego niepowrotnie życia.

Podniosła na mnie z nagłą oczy i patrzyła długo, poważnie.

Spojrzenie to zastanowiło mnie. Był w niem cichy smutek.

— O czem myślisz? — spytałem mimowolnie.

— O tobie, — odpowiedziała cicho, z jakimś skupieniem.

Odpowiedź ta zaskoczyła mnie.

● — Nie pojmuję...

— Myślę o tobie oddawna, Zdzichu. Z ciebie dziwny człowiek... dziwnie smutny człowiek.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Są, widzisz, rzeczy, które umiem odgadywać z całą ścisłością, choć nie opieram swoich wniosków na żadnych dowodach. Może to intuicyja. Nie wiem.

— Jeżeli intuicyja, — bąknąłem, — w każdym razie ciekawy dar...

Spuściła powieki, stropiona. Sądziła najwidoczniej, że chciałem rozmowę naszą skierować na tory żartu.

— Nie żartuj, Zdzichu. Nie mam zdolności odgadywania tajemnic. Umieję tylko przeczuwać cierpienie czyjeś, bo sama dużo cierpiałam. Ja to

nazywam intuicyą cierpiących. Jest to instynkt, który mię nie myli.

— I cóż ci on o mnie powiedział?

— Uśmiechnęła się lekko.

— Powiedział mi, Zdzichu, że ty nie jesteś człowiekiem szczęśliwym. Dlaczego? — nie wiem. Sądzę, że nie przez samotność, którą sobie obraleś, bo i samotność daje szczęście, nawet najczęściej. Może ty tylko nie znalazłeś jeszcze swego szczęścia, może go nawet nie szukasz, lub zgoła nie chcesz, — albo, co najsmutniejsze, nie umiesz w nie uwierzyć.

— A ty, Stefo, czy wierzysz w szczęście?

— Wierzę! — odpowiedziała silnie, niemal zapalczywie, jakby odpierała zarzut, zgóry wiadomy, z którym spodziewała się spotkać.

— Wierzysz — to mało. To nie nie mówi. Czyś ty je jednak znalazła?

Na czole jej zarysowała się zmarszczka głęboka i surowa. Twarz dziwnie zmierzchła, spochmurniała. Mówiła szeptem.

— Zadajesz mi pytanie, z którem nie zwrócił się do mnie nikt z ludzi, bo też nikomubym na nie nie odpowiedziała. Nawet matce. Ta zresztą nie pytała mię o to nigdy. Tobie jednak mogę powiedzieć śmiało, bo wiem, że odpowiedź ma nie będzie dla ciebie igraszką ludzi złych.

Zamilkła chwilę. Długie jej rzęsy rzuciły na policzki lekką mgłę zamyślenia i bólu.

— Nie szukało mię ono — wiesz o tem i rozumiesz. Rozumiales i dawniej, choć byliśmy wtedy dziećmi prawie. Dzieckiem bylam, gdy rozstrzygał się los mojej egzystencyi, calego życia niemal. Szczęście wtedy nie przyszło, a mnie samej szukać nie pozwolono. Woli tej nie mam do dziś, a jednak, mimo wszystko, wierz mi, Zdzichu, — ja znalazłam szczęście.

Ostatnie wyrazy wymówiła cicho, ale z jakąś mocą i dumą wewnętrzną. Patrzyła przed siebie wzrokiem pogodnym, choć bez jakiegokolwiek rozmarzenia.

— Czy w miłości?

— Spojrzała na mnie z wyrzutem.

— I to ty mówisz? Ty pytasz mię w sposób tak pospolity, Zdzichu! Mnie kochać nie było wolno.

— Kto ci mógł zabronić? — zaprotestowałem.

— Ja sama.

— Jakto?

— Tak jest. Ja. Szczęście moje było owocem długich lat pracy mojego ducha, długich lat wyteżonych poszukiwań. Zbierałam je po okruszynie i złożyłam w jedną całość. A jedną z podstaw, na jakich budowę swoją oparłam, był szacunek dla samej siebie, Zdzichu. Teraz pojdziesz, dlaczego umiałam sobie zabraniać i nakazywać.

— Rozumiem, Stefo. Ta równowaga wewnętrzna, którą niewytłomaczonym dla mnie zbie-

giem okoliczności zdołałaś w sobie wytworzyć, — która pozwoliła ci przetrwać i nie ugiąć się, — jest czemś, co możesz nazwać swoim szczęściem. Równowaga ta wypływa, jak się domyślam, z twej własnej filozofii, tym ciekawszej i bardziej wartościowej, żeś jej od nikogo nie zapożyczała. Powiedz mi jednak, na czym ty ją oparłaś?

— Na wierze w piękno życia, Zdzychu.

— A czy to piękno do twego życia zaglądało?

— Gdyby tak nawet nie było, — wystarczałaby mi sama jego idea. Sama wiara w tę ideę uczyniłaby mi je czemś konkretnym i osiągalnym. Nie, Zdzychu, nie może szczęśliwym być ten, kto w to piękno nie wierzy. Życie jest piękne. Nawet bardzo piękne, tylko my, ludzie, jesteśmy częstokroć za słabi. Nie dorastamy do pojęcia jego istoty, nie umiemy piękna tego uczynić swoją własnością. A ono przecie zalega, ot — dokoła, że choćby pełną dłońią czerpać.

W oczach jej świeciło coś z entuzjazmu. W chwili, gdy tak apostołowała swoją wiarę, wyglądała, jak małe dziecko, uroczą bajką biorące za rzeczywistość.

Przez chwilę chciałem ją przywołać do przytomności, chciałem rzucić garść brutalnego piasku trzeźwości, zawołać: — Kłamstwo! Złuda! Mydlane bańki! — ale słowa zamarły mi na ustach. Pojąłem, że to, com chciał uczynić, byłoby zbrodnią, że nie wolno mi wyrządzać tej najcięższej

z krzywd komukolwiek, a zwłaszcza jej — Stefie. Toć ona na tej fikcyi oparła całe swoje życie, które bez tej podpory byłoby jedną męką i niewolą.

A zresztą, — tak, czy inaczej... Czy wiara Stefie jest absurdem, czy nie, jest jednak wartością w swoim zakresie olbrzymią, bo umiała zdecydować o szczęściu jednej istoty. A to już nieskończenie dużo.

Ona zaś, nie zauważywszy nic zgoła, mówiła dalej ze swym spokojnym zapalem. Zda się, pragnęła wypowiedzieć przed kimś to, co było zdawną tajemnicą jej duszy, — a może... może wydawało jej się, że szczęściem swem zdoła kogoś jeszcze obdzielić.

— Są jednak ludzie, co w nie wierzą, Zdzychu. Nie ujeli tego w żadną teorię, ale tem niemniej wyznają ją i ona im w życiu przyświeca. Jedni mają dość siły, by pięknem tem się otoczyć. Inni, słabsi, zamykają je w sobie i żyją bardziej światem wewnętrznym. Innym jeszcze sama idea wystarcza. Ja to piękno zamknęłam w sobie i żyję światem własnym. Patrę w słońce i czuję jego radosną promiennosc, bo odbicie jej znajduję u siebie w duszy. Słyszę śmiech dziatwy i dusza raduje mi się uśmiechem własnej pogody. I daje mi dar zapomnienia o wszystkim, co bolesne i zahartowywa na dalszą walkę z losem.

— A więc przyznajesz, że los jest zły...

— Nie, Zdzychu, — wyraziłam się tylko utartym zwrotem. Los zły nie jest. Taki, lub inny — nabiera odpowiedniego zabarwienia dopiero zależnie od ludzi, których dotyka. Jeśli nie umieją nad nim zapanować, jeśli są słabi, wtedy i los nazywają okrutnym.

— A więc?...

— Trzeba wychowywać pokolenia ludzi silnych, trzeba samemu los swój wykuwać i umożliwiać innym decydowanie o własnej egzystencji. Wtedy pogoda duszy stanie się dobrem powszechnie dostępnym, a umiłowanie piękna nową religią.

— Widzę, że mówisz o przyszłości. Nie chcę cię rozczarowywać, nie twierdzę, że jest to świat mrzonek. Może tak będzie. Przyznasz jednak, że to, na co patrzymy, jest czemś, niewiarogodnie bolesnym, — czemś, pozbawionem racji bytu. Przyznasz, że życie w obecnej postaci daje gromadzie ludzkiej tylko ból, tylko cierpienie — nie więcej — i że gromada ta, razem wzięta, jest zbiorowiskiem istot zdecydowanie nieszczęśliwych.

— Nie, Zdzychu. Nieszczęśliwym jesteś tylko ty i ci, którzy wraz z tobą doszli do takiej negacji wszelkich wartości. Ci ludzie zaś, których nazywasz godnymi współczucia, stokroć szczęśliwsi są, niż nam się to napozór wydaje. Oni na kanwie swego bytu haftują marzeniem, a w marzeniach widzą rzeczy promienne. W każdym cier-

pieniu przyświeca im podświadoma nadzieja przyszłych radości, bo oni, Zdzychu, pragną, a w pragnieniu jest już niejako coś z ucieleśnienia ideału. Oni tęsknią, a sama tylko tęsknota daje im już cząstkę upragnionego dobra. Dzień dzisiejszy ozlaca im słońce wymarzonego jutra. Pochmurne jutro rozjaśnia odrzask dni minionych. Takim jest życie. Łamie tych tylko, którzy nie nauczyli się je kochać. Klęski ludzkich rozczarowań spala w niegasnących zniczach nowych nadziei i porywów.

— A więc tłum ten w swej masie jest, zdaniem twym, w istocie szczęśliwy i szczęście jego tkwi w pragnieniu?

— Tak jest — w pragnieniu.

— Stefo! Czy ty nie wątpisz w to, co mówisz? Czy nie jest to urojenie?

— Fikcją jest wszystko, Zdzychu, od czego odwracamy duszę swoją. I naodwrot — cały świat rzeczy, nieosiągalnych napozór, możemy uczynić rzeczywistością. Nie pragnąc szczęścia, nie znajdziemy go. W pragnieniu jego tajemnica. Ono jest jego rodzicielką i piastunem. Ono jego kolebką i źródłem mocy. Pragnienie daje mu skrzydła i śmiałość lotu.

Patrzyłem na jej delikatnie rzeźbiony profil, na ołożony w słońcu promień włosów nad czołem i, nie zastanawiając się głębiej nad jej słowami,
Dziennik.

wami, myślałem tylko, ile przecierpieć musiała ta istota, jeśli swą własną małą glowiną to wszystko przemyślała — i jak bardzo czystą była jej dusza, skoro w tych najsmutniejszych pod słońcem warunkach umiała zrodzić tyle promiennego entuzjazmu.

Biedna, mała Stefcu... Jakże mi cię żal — jak bardzo żal — i jak nieskończenie zarazem ci żal...

Szereg bezsennych nocy, spędzanych przy łóżku chorego, odbił się na zdrowiu Stefy niesłychanie.

Zauważyłem, że chwilami formalnie chwije się na nogach, goniąc resztkami energii. Od tej pracy nad siły sam odwożić jej nie usiłowałem. Wprowadziłoby to w nasz wzajemny stosunek niepotrzebny a niewątpliwy dysonans, którego chciałbym jej oszczędzić. Widzę, że kieruje nią nie tylko współczucie. Ona chce wytrwać na stanowisku do ostatka. Za to, co z nią uczyniono, wzięła na siebie odpowiedzialność bez zastrzeżeń. Jeśli tedy nie problematyczną słuszność jej postanowień, to choćby ten bohaterски wysiłek woli

chcę w niej uszanować, choć, skądinąd, mój ludzki obowiązek nakazuje mi chronić ją, by w tym wysiłku nie zmarniała.

Krótkie wycieczki, jakie od pewnego czasu odbywa rankiem do parku łaźniakowskiego, wymogłem na niej dosłownie podstępem i bez jej wiedzy.

Musiała conajmniej dwuznacznie wyglądać ta moja wizyta u ordynatora kliniki z prośbą o pomoc i opiekę nad zdrowiem Stefy. Wizyta »dalekiego kuzyna«, interesującego się losem młodej, przystojnej krewnej, żony dogorywającego starca. Lekarz uczynił to dyskretnie i, przypuszczam, z sumieniem czystym o tyle, że poświęcenie Stefy zwróciło istotnie powszechną uwagę, a stan jej zdrowia upoważniał do wszelkich obaw.

O ile wiem, persfazy i przełożenia lekarza były bezskuteczne. Sprytny eskulap jednak okazał się w tym wypadku niezłym psychologiem. Zaobserwowawszy, że Wojsławski, przywiązany niezmiernie do życia, drży na samą myśl o jakiegokolwiek chorobie kogoś z bliższego otoczenia, zwrócił uwagę chorego na wyczerpanie Stefy, grożące jej poważnym niebezpieczeństwem.

Starca, któremu opieka i troskliwość żony, a przez to i ona sama — stała się czemś, bez czego życia nie rozumiał, opanował strach. Podsunętej mu myśli, by Stefa kilka godzin dziennie

spędzała na powietrzu, uchwycił się oburącz z całym chorobliwym maniactwem. Egoista, który przed chwilą jeszcze nie pozwalał jej na krok od siebie odstąpić, sam dopominał się teraz codziennie, by szła — po zdrowie... po jej zdrowie, które dla jego wygody, dla jego spokoju było tak bardzo potrzebne.

Ten zwrot sprawił mi tak niespodziewaną radość, że uczulem się wprost zaskoczony. Radość ta jednak rozwiała się dość prędko. Stefa dosłownie ginie w oczach. Jest tak wycieńczona, że z trudem i coraz nieudolniej maskuje straszne zmęczenie.

Wiosna, słońce, powietrze — nie wynagradza jej organizmowi tego, co niszczy noc, na czuwaniu i pracy strawiona.

Myśl ta gnębi mię i przygniata, bo czuję swoją absolutną bezsilność i widzę, że w położeniu tem niema żadnego wyjścia, bo Stefa za żadną cenę obowiązku, jaki sama sobie narzuciła, nie zdradzi.

Byłem dzisiaj u Stefy. Wybiegła z pokoju męża na korytarz, ostrożnie przymykając drzwi.

Była jakby stropiona. Mimo półmroku, zauważyłem w jej oczach wyraźne ślady lez.

Położyła palec na ustach i niemym ruchem powiodła mię za sobą.

— Nie prowadzę cię dziś do Andrzeja, — tłumaczyła. — On taki dziś rozdrażniony.

Usiadła na malej kozetce, a raczej osunęła się na nią bezsilnie. Głowę odchyliła na oparcie i dłońmi przysłoniła oczy. Z pod rąk tych poczęły po chwili splywać łzy. Duże, milczące łzy.

Nie lkała.

Przerażony, uchwyciłem ją za rękę.

— Stefo, ty płaczesz, Stefo!

— Zdzisiu, daj pokój. To nerwy. Ja wiem, że to niema sensu, ale nie mogę... nie mogę...

— Ale co się stało? Powiedz!

— Ee... nic. Tak mi się jakoś zebrało. Gdybyś ty wiedział, jak ten człowiek cierpi...

Czulem, że nie mówiła prawdy, że musiało tu zajść coś, co przekroczyło zwykłą miarę.

Jakby zdając sobie sprawę z mego niedowierzania, wstała i odwróciła się, milcząc, do okna.

We drzwiach ozwało się pukanie. Weszła starsza pielęgniarka.

— Proszę pani, proszę pani! Tam pan panią tak woła, może pani pozwoli...

Wysunąłem się niepostrzeżenie.

Na pierwszym piętrze wyjąłem swój bilet wizytowy i zażądałem, aby mię wprowadzono do starszego lekarza.

Przyjął mię niezwłocznie ze stereotypową uprzejmością i widocznym zaciekawieniem.

— Ach, to szanowny pan. Czemu mam przypisać?... Zdaje się, że miałem już przyjemność.

Krótko i zwięźle zainterpelowałem go, czy postawiono już ostatecznie dyagnozę choroby Wojsławskiego.

Lekarz zastanowił się.

— Uważa pan: panu, choć krewnemu, ale mężczyźnie — mogę powiedzieć całą prawdę. Choroba pańskiego kuzyna nie należy do często spotykanych. Dlatego też ustalenie jej było rzeczą niełatwą. Musieliśmy przeprowadzić cały szereg badań i to bardzo skomplikowanych. Do wniosków zaś ostatecznych przyszliśmy dopiero niedawno. Ledwo w tych dniach.

— Więc?

— Nie chcę przed panem ukrywać. Jest to rak, a raczej *sarcoma* — odmiana rzadka, ale najzłośliwsza.

— Jakież tedy, zdaniem panów, mogą tu być perspektywy — nadzieje?

— Niestety, żadne — albo prawie żadne. Mamy tu do czynienia z chorobą kapryśną, która zaturuje organizm, rzadko obierając sobie stałe siedlisko. Na poszukiwania owego siedliska strawiliśmy wiele zmudnych dociekań. Nie wiem, czy panu wiadomo, że prześwietlania roentgenowskie nie doprowadziły do konkretniejszych wyników.

Zdjęcia nie ujawniły żadnego stałego nowotworu. Skądinąd, pewnej kategorii analizy i sam rodzaj cierpień pacjenta naprowadzają nas na ślad, że zakażenie objęło część systemu pokarmowego. Ścisłej biorąc, *sarcoma* usadowiła się przypuszczalnie w jamie brzusznej.

— Czyż więc nie należałoby dokonać odpowiedniej operacji? O ile mogę sądzić, zwłoka w procesie chorób tego typu może mieć następstwa fatalne.

— Niewątpliwie. Należy się jednak liczyć z tem, że, aczkolwiek usunięcie schorzałych organów jest w obecnym stanie medycyny zabiegiem jedynie celowym, — tym niemniej operacje takie są wysoce ryzykowne i ocalają rzadko.

— Nie rozumiem.

— Zaraz to panu wytłumaczę. Czynnikiem decydującym w operacji, z jaką mielibyśmy w tym wypadku do czynienia, jest jej właściwy moment. Jeśli moment ów minął, ryzykujemy życie. *Sarcoma* ma to do siebie, że lubi się przerzucać i atakuje organy, nieraz bardzo od swego dotychczasowego ogniska odległe. W tym względzie jest nieobliczalna.

— Czemu więc lekarze nie starają się owego krytycznego momentu uprzędzić? Przecież tu każda chwila może zadecydować o wszystkim.

— Tak jest. I proszę mi wierzyć, że nie zaniebano niczego. Wie pan zapewne, że nam, leka-

rzom, zarzucają raczej zbytnią pochopność w dokonywaniu operacyi, niż opieszałość w tych sprawach. Niestety, ostatnie badania naszego pacjenta wykazały, że choroba przeszła już w ów stan krytyczny. Wskazuje na to niesłychany, od paru dni bez przerwy trwający ból głowy o charakterze bardzo nas zastanawiającym.

— Więc już zapóźno?

Skrzyżował ręce bezradnie.

Wstałem.

— Jak długò jeszcze, zdaniem pańskim, potrwa ta męczarnia?

— Tygodnie. Może dłużej, — zależnie od postępów choroby i od organizmu, z którym ta walczy. Organizm pana Wojslawskiego jest odporny, — sił żywotnych jeszcze bardzo wiele.

Od kilku godzin przemierzam pokój krokiem miarowym, nieustannym.

W tę i napowrót. Bez kresu, bez celu, jak zwierz w klatce.

Pod czaszką czuję pustkę, jak w wyschniętej studni i tylko głuchy łoskot mych kroków odbija się w niej echem tepo i boleśnie.

Nie czuję nic. Nie walczę z żadną myślą kon-

kretną. Duszę targa mi tylko jedno smutne, wielkie słowo:

— Stefa! Stefa!

Nie zastanawiam się już, dlaczego jej cierpienie odbija się we mnie rezonansem tak potężnym, dlaczego cierpię może bardziej, niż ona sama. Odrzuciłem precz wszelkie refleksye. Brzydzę się niemi, jak gadem — nienawidzę, przeklinam.

— Stefa! Stefa!

Czemu ona tak cierpi? Jakiem prawem?

Jakiem prawem wtłoczono ją w to dławiące kolisko losu? Ją — uosobioną anielskość...

Jakiem prawem poddano ją torturom? Ją — niewinną?

Dlaczego?!

Czemu staje się ta niesprawiedliwość — to okrutne bezprawie?

Ja wiem, że ono jest osią, podwaliną świata, — że trwać będzie po jego kres, ale wara mu od niej, od Stefy! Niechaj dotyka wszystkich, niech łamie i druzgoce — ale niech ją oszczędzi!

Niech życie każe cierpieć, ale za winy! Za winy!

Ona chce żyć. Ona żyć musi. Ona, która tak kocha, — kocha, jak dziecko, piękno bytu. Dostrzeżga je i rozumie. Takiej istoty niewolno pozbawiać możności oddechu. Niewolno dusić dla jakiejś zlej, posępnej igraszki.

Nie chcę wiedzieć, że los nie zna logiki, że

rządzi kaprysem przypadku. Żądam dziś odpowiedzi.

Gdybym w coś wierzył, rzuciłbym temu Komuś Nieznanemu klątwę. Błuzniłbym wszelkiej świętości.

Za nią, za Stefę!

Wojslawscy wyjeżdżają. Stefa na żądanie chorego przewozi go do jednej z klinik krakowskich.

Tutejsi lekarze ludzili go tak długo skutecznością obiecywanej operacji, że starzec domagał jej się coraz niecierpliwiej. Zwłoka rozdrażnia go. Chce conajprędzej wstać, działać, pracować. Wiosna, pozostawione bez opieki gospodarstwo i naglące roboty rolne — wprawiają go w stan stalego podniecenia i zgryźliwości. Stopniowo stracił wiarę w ustawiczne konsylia, zniechęcił się do warszawskich doktorów, natęrczywie żądał wyjaśnień i przynaglał.

— Zwłóczę, okradają mię, — dręczył Stefę.

Wreszcie podczas wczorajszego badania, kiedy niezręcznie podsunięto mu myśl, iż operacji da się uniknąć, wybuchnął niepohamowanym gniewem i kazał pakować kufr do wyjazdu.

Stefa spełnia jego wolę posłusznie, bez słowa protestu. Jestem pewien, że za najłżejszą perswazyę gniew starca zwróciłby się przeciw niej.

O wyjeździe zawiadomiła mię listownie przez pielęgniarza, który zgłosił się do mnie bezpośrednio po całonocnem czuwaniu u Wojsławskich. Po sutym datku slugus, sympatyczny zresztą czelczyzna, uważał za stosowne udzielić mi nieco swych własnych informacyi. Dla Stefy wymyślił szczególną nomenklaturę: »anielska panic«.

Owóz »anielska pani«, jak się okazuje, przeżyła tej nocy istną Golgotę. Wojsławski, z natury, zdaje się, pedantyczny i przykry, pod wpływem choroby stał się dla otoczenia wprost okrutny. Od wieczora niemal do świtu Stefa musiała własnoręcznie układać w kufrach tysiące drobiazgów i to w sposób jemu tylko wiadomy. Każdy z kolei kufer musiano przysuwać do łóżka chorego, który obejmował osobistą najdrobiazgowszą i najkapryśniejszą dyrektywę nad układaniem garderoby, przyborów podróźnych i nawet sukien żony.

Przytem co pewien czas musiano zamknięte już walizy wypróżniać i pracę rozpoczynać na nowo. Starzec przynaglał, kontrolował, wyrzekał, sprawdzał, musiał spojrzeć na wszystko, nie dowierzał najmocniejszym zapewnieniom, po dzieśkićroć pytał o jedno.

Nad ranem kazał rozsznurować największy kufer i wydobyty z dna garnitur żakietowy posłać do odprasowania.

— W Krakowie mamy dużo rodziny, — tło-

maczył. — Po operacyi ten i ów zechce odwiedzić — trzeba będzie oddać wizyty.

W wyzdrowienie nie wątpi ani na chwilę.

Dziś w parku widzieliśmy się po raz ostatni. Odjeżdżają po południu.

Stefa przyszła, jak zwykle — cicha i uśmiechnięta. W rękę trzymała pęk białych róż. Kupiła je po drodze.

Nie wiedziałem, że tak kocha kwiaty. Siedząc na lawce, złożyła je na kolanach i gładziła wychudłemi rękoma odruchowo z jakąś dziwną tkliwością.

Zdało mi się, że zastanawia się nad czemś długo, że coś rozważa i analizuje.

— Zdzisiu, dlaczego ty nie wyjedziesz z Warszawy? — spytała mię wreszcie z namysłem.

— Czemu mi o to pytasz?

— Pytam, bo mi chodzi o ciebie. Warszawa cię wyczerpuje, zabija. Nie wiążą cię tu przecież żadne interesy, nie pociąga życie rozgwaru — powinienes wyjechać.

— Dokąd, Stefo? Do kogo i po co? Czy za granicę? To nie dla mnie.

— Za granicę? Nie. Nie myślałam o tem. Wyjeżdż dokądkolwiek. Na zwykłą wieś polską. Za granica ci niepotrzebna. Nie unikaj tylko tego świata, w którym jest zdrowie i harmonia.

— Mylisz się. Ja właśnie nie znoszę tych wszystkich letnisk i zdrojowisk. Harmonii, o której mówisz, w nich nie znajduję. Tam jeszcze więcej ludzi, jeszcze więcej głupoty i ciekawości, niż tutaj. A pod tą »naszą polską strzechą« nikt mnie nie czeka.

— Widzisz, ja myślałam nad tem, że powinienś jechać do siebie, do Jasińca. Nie potrzebujesz usuwać dzierzawy. Możesz zamieszkać w tym małym szwajcarskim pawiloniku w parku, gdzie mieszkała kiedyś ciotka Emilia po rozwodzie. Pamiętasz. Zresztą jedź, dokąd chcesz, byle tylko tam, gdzie dużo słońca i prostoty, gdzie słyhać śmiech swawolnych dzieciaków, gdzie jest natura, dobra, pogodna natura. Tam odetchniesz powietrzem szerokich pól i nawet smętek mgieł nadrzecznych o wieczorze nie smętkiem cię napełni, ale rozkoszą. Powiedz sam, Zdzichu — tyś się już dawno nie śmiał, prawda?

Zamilkłem.

— Ty musisz bardzo lubić dzieci, Stefo?

— Kocham je. To najpiękniejsze i najszcześliwsze istoty na świecie. Ale kocham dzieci proste. Te, których nie odarto z uroku dzieciństwa. Gdy patrzę na maleństwa, uwijające się po tutejszych parkach, dziwnie mi smutno. To już nie dzieci. Bezwiednie wyrządzono im wielką krzywdę. Najnierozważniej pozbawiono je wielu lat niezmaconego, pełnego szczęścia. Czy ty wiesz,

o czem te małe istotki rozmawiają. Ja je słyszałam. Mówią o tem, co i ich matki. Wiedzą, ile kosztuje każda wstążka, jaki fason jest najmłodniejszy, która z firm najbardziej renomowana i t. d. Przechwalają się swemi sukienkami, zazdroszczą, szydzą, umieją nawet dobierać sobie towarzystwo według pozycyi socyalnej rodziców. Biedne, nieszczęśliwe maleństwa. Takich dzieci nie kocham, tylko się nad nimi lituję. Ich dusze — to palmy w wazonikach. Stoją w salonie skarłale, zakurzone, dekoracyjne, suchotnicze i nikomu niepotrzebne.

— Jaka ty jednak dziwna jesteś, Stefo. Skąd nagle przyszło ci na myśl opiekować się zdrowiem mojej duszy i ciała, — tobie, która może bardziej, niż ktokolwiek, opieki tej i interwencji potrzebujesz.

— Ja? Skądże?

— Widzisz — nie jesteś szczerą. A jednak, skorośmy już owe kwestye poruszyli, milczeć nie będę. Stefo, posłuchaj mię: tak dalej być nie może. Ta praca jest przecież ponad siły przeciętnego człowieka, a ty zabijasz się nią, nie przetrwasz. Stefo, — to musi się zmienić.

Wyraz jej twarzy sposepniał dziwnie. Przyknęła powieki i uścisnęła mię za rękę kurczowo.

— Daj pokój, Zdzichu. Nie mówmy o tem, proszę cię, — rzuciła prawie szeptem.

Rozmowa nasza urwała się. Zalegl nastrój kłopotliwy jakiś i dręczący.

Milczenie przerwała pierwsza Stefa. Była już spokojna i próbowała się uśmiechać.

— Nie gniewaj się na mnie. To może dziwne, ale nie umiem ci tego wytłumaczyć. Gdybym była poganką, — usiłowała żartować, — powiedziała-bym może, że pragnę wszystkim złym, głodnym upiorom mego życia złożyć wielką ofiarę, która nasyci je i uspokoi, — a wtedy odejdą bezpowrotnie.

Błądą twarzyczkę zasłoniła konchami równie białych róż i uśmiechnęła się przez nie raz jeszcze — do mnie, do kwiatów i do słońca.

— — — — —

Za słupem werandy stacyjnej stałem bez ruchu, potrącany przez tłum, ogłuszony zgiełkiem i bezimienny. Byłem im obcy, nieznan, niezauważony prawie.

Stojąc opodal wagonu, widziałem szpitalne nosze, z których wniesiono Wojsławskiego do coupé i Stefę w podróżnym woalu i płaszczyku, z trudem wchodzącą po stopniach. Potem nosze zabra-

no, nowa fala tłumy napłynęła jeszcze gwarniej i hałaśliwiej i Stefa znikła mi z oczu.

Chciałem podejść i raz jeszcze uścisnąć jej biedną, wychudłą rękę, lecz obawa banalności wstrzymała mię na miejscu.

Rozbrzmiał już drugi dzwonek. Drzwi wagonów poczęto hałaśliwie zatraskiwać. Tłum przeredzał się.

Nagle w którymś z okien zamigotał mi w słońcu ciemnozłoty bujny splot włosów i mała główka Stefy wychyliła się, upatrując kogoś pilnie i nerwowo. Nie wiem kiedy i jak dostrzegła mię stojącego w głębi, bo mimowoli poczęłem prawie biedz ku niej, widząc, jak spromieniała radością.

— Więc jesteś, Zdzichu! Widzisz — przyszłeś. Ja byłam pewna, że przyjdiesz. Dziękuję ci, dziękuję z całego serca, — witała mię z rumieńcem.

— Jestem tu już od chwili, ale nie zbliżałem się. Byłaś napewno bardzo zajęta.

— To nic. Zresztą Andrzej już leży w łóżku. Wyjazd uspokaja go.

Pociąg już ruszał z miejsca. Przez twarz jej przewinał się jakiś smutek. Spojrzała na mnie przez lzy.

— Zdzichu, pamiętaj ty o sobie... Pamiętaj, że cię o to bardzo, bardzo proszę...

Byliśmy już od siebie zdala, gdy usłyszałem jeszcze jej szept i słowa dziwne, bolesne:

— Żal mi odjeżdżać stąd, Zdzichu... Żal... Tak mi tu było dobrze.

Po policzkach potoczyły jej się dwie duże łzy.

Łoskot odchodzącego pociągu już nacichał. Ostatni wagon nikił z wolna, jak czarny malejący punkcik, a ja stałem jak w odrętwieniu, wpatrzony w dal, — widząc wciąż przed oczyma kołyszący się na wietrze złoty promień jej włosów i małą zaplakaną twarzyczkę.

I wydało mi się nagle, że słoneczny świat zszarzał, zbrzydl — i jakieś lodowate macki zaciskają mi krtań wstrętnym uściskiem.

— Tak mi tu było dobrze...

Słowa te nie przestają mi dźwięczeć w uszach dzień i noc. Budzą całą zawieruchę myśli, rozpadają się w krocie natrętnych zapytań, lub urastają w ogrom, rozrywający piersi.

Coś się w mem życiu staje. Idę gdzieś, prowadzony przez moc nieznaną i ogromną. Owa wielka zagadka, którą instynktowo od pewnego czasu już przeczuwałem, poczyna z wolna odchyłać swoją zaslone, a ja stoję przed nią bezwolny i olśniony — i boję się oczu otworzyć.

Wiem tylko jedno: że w duszy mojej dzieje się coś wielkiego. Coś się w niej załamuje i coś odradza. Mam wrażenie, że wre w niej jakaś praca, krusząca więzy, — że lada moment ze zdławionej krtani wyrwie się pełny, radosny okrzyk i fala czystego powietrza rozszerzy spragnione płuca.

— Tak mi tu było dobrze...

Te słowa, może źle zrozumiane, może nie zrozumiane wcale, lub też rzucone bezmyślnie — zapadły mi na dno duszy, tleją w niej zarzewiem, rozpalają się w płomień, uświadamiają rzecz wielką, stającą się we mnie.

Boję się o tem myśleć. Drzę przed tem czemś nieznanem i truchleję.

Jestem, jak człowiek chory, trawiony przez gorączkę. Żyję jakby w oczekiwaniu jakichś wydarzeń, nasłuchuję odgłosów, chodzę nerwowo z miejsca na miejsce, przechodząc z kolei do krótkotrwałych chwil absolutnej bezwoli i odrętwienia.

Dnie wloką się bezbarwne jakieś, czerne i apatyczne. Nie wypełnia ich nic, czegoś zbrakło, nastąpiła pustka, odczuwana realnie i wszędzie obecna.

Dziś zrana o zwykłej do niedawna godzinie poszedłem do Łazienek. Automatycznie dowlokłem się do naszej ustronnej ławeczki i usiadłem, jak dawniej, w oczekiwaniu. I miałem moment wra-

żenia dziwnie suggestywnego. Usłyszałem w oddali ciche kroki Stefy, która nadeszła, jak zwykle, milcząc i bez powitania usiadła przy mym boku. Czulem obecność jej, słyszałem oddech i lękałem się podnieść wzroku, aby ta zjawia nie pierzchła.

Wróciłem z tej przechadzki przygnębiony z uczuciem jeszcze większej i boleśniejszej pustki, a jednak wiem, że jutro pójdę tam znowu, byle tylko raz jeszcze chwilę podobnej złudy mózgu przeżyć.

Słowa Stefy, dla których tak niedawno miałem tylko coś z politowania i pobłażliwości, urastają mi dzisiaj do znaczenia wielkiej mądrości życia.

»Dzień dzisiejszy ozlaca nam słońce wymarzonego jutra. Pochmurne jutro rozjaśnia odbrzask dni minionych...«

Tak. Ona wiele cierpiała i dlatego myśli jej mają w sobie coś z prawdy wiecznej, gdy tymczasem ja, zwalczając czczość i frazes, nie prócz tej czczości i frazesu nie zdobyłem.

Drugi już tydzień od jej wyjazdu upłynął. Jestem po dawnemu równy, spokojny, bez uśmiechu, milczący. Tylko ta pustka, ta tęsknota, za-

mknięta w głębi, trawi i szarpie, jak zły czerw, toczący żywe ciało.

Wiem, że jutro będzie takim, jak dzisiaj i niczego nie czekam, prócz ech. Głosów żywych nie ma, — są tylko echa ich w martwych literach listów zakłete. A i one jakżeż mi są drogie.

Zebracy cenią okruchy... a bogactwo moje da-leko.

Z listów Stefy dowiaduję się, że choroba Wojsławskiego czyni szalone postępy. Od przyjazdu stracił przytomność. Gorączka mała, lecz nieustanna, wyniszcza go coraz bezlitośniej. O operacji nie ma nawet mowy.

Umieściła go w najdroższej lecznicy, gdzie prze-wala się istne zbiegowisko lekarzy, którzy odchodzą zawsze z tym samym, co i dołąd, wynikiem — z bezradnością.

Sama zmuszona była zamieszkać w hotelu, choć podejrzewam, że i tak cały czas spędza przy mężu. Pisze, że czas upływa jej ciągle pod tym samym smutnym znakiem. Nie mówi, że pod znakiem oczekiwania tego, co przyjdzie nieomylnie — oczekiwania śmierci.

— Smutno tu, — pozwala sobie na skargę, — smutno i samotnie. Nigdy samotność ta nie ciążyła mi tak bardzo, jak dzisiaj. I tak pusto. Nie mam nikogo... nikogo...

Byłem w Krakowie.

Przyszedłem do przekonania, że tak dłużej nie wytrwam, że męki tej nie zniosę. Myśl wyjazdu powstała niespodzianie i sam zadziwiłem się, dlaczego dotąd tego nie uczynilem. Prześladuje mnie jeszcze snadź puścizna fatalnej przeszłości — niezdolność do czynu.

Przeszłości! Z jakąż ulgą wyraz ten dziś wymawiam, jak bardzo pragnę weń wierzyć. Wierzyć w to, że w życiu mem odwraca się zła, smutna karta, — odwraca bezpowrotnie.

Raz powzięte postanowienie sprawiło mi dziecinną radość. Jakaś iskra młodości poczęła ożywiać moje nerwy, pobudzać krew w żyłach.

Wyjadę. Zatrę za sobą ślad mym zmorom prześladowczym. Zgubię je. Odnajdę świat inny. Może mnie pochłonie, może pokryje swą falą, zasymiluje, — wszystko jedno. Nie stracę nic. Chyba tę moją śmieszna parodyę nadczołwieczeństwa, którą stworzyłem w pysze czczej i przewrotnej.

Zabawne — co? Tragikomiczna abdykacja szopkowego królika, co składa papierową koronę, zrzuca bajecznie kolorowy płaszcz i sięga po angielski marynarkowy garnitur. W momencie tym, jak każe zwyczaj, wydaje ciche westchnienie, — tym razem westchnienie ulgi.

Odżyło we mnie coś z żaka. Zachowuję się, jak uczeń — szóstkłasi. W biurze pasportowem

daję śmiesznie duże łapówki, przed domem nie mogę się doczekać powozu, na dworcu pociągu, w wagonie kresu podróży.

W hotelu Saskim w Krakowie Stefy, naturalnie, nie zastałem. Powiedziano mi, że bywa tu za ledwo raz na dwa dni, bawi chwilę, przebiera się i wychodzi.

Jeszcze napół po podróżnemu podążyłem do sanatorium.

Stefa nie chciała wierzyć swym oczom. Nie powiedziano jej mego nazwiska, wypraszając, jak do zwykłego interesanta. Stała w progu poczekalni i bezwiednie krzyknęła, nie mogąc się opanować.

— Zdzichu! To ty, ty... Przyjechałeś! O, Zdzichu, jakiś ty strasznie dobry!

Przez chwilę, przez mgnienie oka nieomal byłbym poprzysiągł, że okrzyk ten mówi mi nieskończenie wiele.

Całowałem jej rękę. Długo, radośnie. Zaraz jednak rzuciła mi się w oczy straszna jej bladość. Podniecenie, wywołane spotkaniem, minęło. Stefa zachwiała się nagle i ledwo zdołałem podtrzymać ją ramieniem, na którym zwiśla bezsilnie.

Przerażony, posadziłem ją w fotelu. Jakiś strach chwycił mnie za gardło.

— Stefo, co tobie? Tyś jest chora...

— Nic, — próbowała się dźwignąć, — nie, co

znowu. Zmęczona jestem tylko. Nieslychanie zmęczona...

Dnia tego biegalem, jak szalony. Byłem szorstki, brutalny, stanowczy, lub pełen próśb i błagalnych wyrazów na ustach. Obrzucilem wymówkami zarząd lecznicy, który nie zwrócił uwagi na jej wycieńczenie i nie zabronił ustawicznego ślęczenia przy chorym, objechałem wszystkich specjalistów, poruszyłem z legowisk uniwersyteckie i nieuniwersyteckie sławy, kusilem wysokością honoraryów, zaklinałem ze łzami w oczach, które lada chwila gotów byłem zastąpić najordynarniejszą klątwą rozpaczy.

Pod wieczór do kliniki zjechało kilka najteższych głów ze świata lekarskiego. Po szczegółowym zbadaniu zdrowia Stefy, zawyrokowano, że musi niezwłocznie wyjechać na południe.

Uśmiechnęła się blado i zaprzeczyła ruchem głowy. W ruchu tym było tyle rezygnacyi i stanowczości zarazem, że pojąłem, jak dalece bezowocnym był mój wysilek.

Dopóki Wojslawski żyje — ona stąd nie odjedzie. Zginie, zgaśnie, jak płomyk, któremu zbrakło już kropel oliwy, ale zostanie tu do ostatka.

Uczynilem tylko jedno. Zarząd lecznicy pozwolił Stefie na dozorowanie męża jedynie od południa do nocy. Dołożyłem wszelkich starań, aby

zakaz ten brzmiał możliwie stanowczo i aby go w żadnym wypadku nie uchylono.

Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo tam byłem potrzebny. A jednocześnie staje przede mną blade, natrętne widmo strachu i niewidzialną ręką sący w duszę zwątpienie:

Czy nie zapóźno?

Następnego ranka przyszedłem do hotelu, aby zapytać o jej zdrowie.

Sen pokrzepił ją. Na policzki wydostał się lekki, niedostrzegalny prawie rumieniec. Starła się upewnić mię, że czuje się silna i zdrowsza. Zaproponowałem, by zeszła na dół i pojechała za miasto. W remizie zamówiłem wygodne lando, nie zdradzając narazie, że poleciłem, by pojazd ów czekał na nią tu co dnia. Później miałem nadzieję uspokoić jej skrupuły, które ją zawsze wprawiają w zakłopotanie.

W Krakowie spędziłem cały tydzień. Stefa, nie wiem dlaczego, nagliła mię do wyjazdu. Chwilami jest dziecinna. Naczytała się Przybyszewskiego i wierzy, że Kraków jest malaryczny. Chodzi jej o me zdrowie.

Na powrót do Warszawy zbrakło mi jednak odwagi. Boję się dziś tych ścian, tych ulic, tych posepnych od wspomnień sprzętów mego domu.

Może dla dogodzenia kaprysowi Stefy, a bar-

dziej jeszcze, aby być do niej bliżej, pojechałem do mego Jasińca.

Nie przypuszczałem, aby wieś mogła istotnie wywierać tak uzdrawiający wpływ.

Stefa miała słuszość. Oddycha się tu tężyzną i poezją, patrzy na prymitywne siły natury i na wykwiłt jej zniewalającego uroku.

Mieszkam w naszym starym gościnnym pawilonie, ukrytym w głębi parku w zagaju cisów, obramowanych na tle ciemnej zieleni igliwia seledynową koronką młodych pędów. Wszystko tu zapomniane i tylko ręka starego Jana, który mię kiedyś malcem uczył jeździć na koniu, okurza te poważne, choć nie smutne pamiątki, które same-mu mnie nie mają wprawdzie nic do opowiedzenia, ale mówiły pewno do wielu już pokoleń.

Nie brak mi tu niczego. Stary Jan, który zmonopolizował sobie opiekę nad mą osobą, przynosi »swemu panu« ze dworu, gdzie mię stołują, po cztery razy dziennie jakieś wiejskie przysmaki, niewidzialny — rozściela biały obrus, zastawia stół i znika. Zdaje się, zrozumiał, że schroniłem się tu dla ciszy i harmonii.

W ciche, upalne popołudnia zasiadam co dnia u rozwartego okna w starym odwiecznym fotelu i oddycham. Oddycham pełną piersią. Czuję dreszcz siły i błogosławieństwo pogody. Przeżywam wtedy moje wspomnienia. Niedawne, ale bezcenne. Dozywam je, jak skarby, troskliwie

w kowanych ukrywane szkatułach, układam w blasku słońca i cieszę się, raduję i rozteskniam.

Pieszczę każdą drobnostkę, każdy epizod, wspomnienie każdej, napozór niewartej chwili, spędzonej wspólnie.

O! takie male dzieciństwo.

Niedawno, w dzień mego wyjazdu, byliśmy w parku Jordana. Zasunięci w głąb ławki, ukrytej w strzyżonych szpalerach, siedzieliśmy, wsłuchani w szczebiot rozbawionych dzieciaków, uganających się gromadką tuż obok.

Z gromadki tej wysforowała się nagle mała, może czteroletnia dziewczynka, zaferowana czemś mocno, z kapelusikiem opadłym na plecki i rozwichrzoną czuprynką.

— Płose pani! Płose pani! — wołała zadyszana, pędząc, co sił w małych nożynach, ku Stefie.

— Płose pani, bo Zosia jest niegreczna!

Podbiegła tuż do ławki i stanęła, jak wryta, stropiona snadź własną odwagą. Dla kurażu włożyła palec do buzi i spoglądała z ukosa raz na nas, to znów poza siebie, jakby zastanawiając się, czy nie lepiej zabrać się do odwrotu.

— A cóż ci Zosia zrobiła? — pytała Stefa ciekawie z uśmiechem.

— Biję mię... po główce...

— A, to niegrzeczna. Dzieci nie można bić po główce.

Mała pociągnęła ją za suknię.

— To chodź. Daj Zosi klapsa, — zdecydowała rezolutnie.

— Nie mogę, dziecinko. To nie moja córeczka. Na buziaku małej odbiło się zdziwienie.

— A bo ona mówiła, że tu siedzi jej mamusia i że nas wszystkich wybije.

— Ale, skąd znowu! — zaprotestowała Stefa i, śmiejąc się serdecznie, ucałowała małą w oba różowe policzki.

Dzieciak »ukochał« ją zaraz familiarnie uściskiem za szyję i usadowił się na kolanach, majdając z zadowoleniem nóżkami.

— Pani jest dobra. Pani ładna. Pani bendzie moja ciocia. Dobrze?

— Ależ, dobrze. Będę twoją ciocią. Ale musisz mnie kochać.

— Ja ciocie jus kocham. A jak cioci córecce na imię?

— Ja nie mam córeczki, mała.

— A chłopcyka tys?

— Ani chłopcyka?

— To poproś Bozi o córeczkę, bo ja chłopców nie lubie. I zehy jej było Jadwinia? To sie bende z nią bawić.

— A dlaczego koniecznie Jadwinia?

— Bo tu była taka dziewczynka Jadwinia i sie ze mną bawila i była gzečna i nie bila sie wcale.

— No i cóż się stało z tą Jadwinią?

— A pojechała. Daleko, bardzo daleko. Mamu-

sia ją zabrała i pojechała — i ja sie nie mam z kim bawić.

— Dobrze, kochanie, jeżeli ci tak na tem zależy, to poproszę Bozi o Jadwinię. A tobie jak na imię?

— A ja jestem Basia i mam braciska, co jest Staś, ale on jest bzydki.

— Dlaczegoż to ten Staś jest taki brzydki?

— Bo on jest chłopiec, a ja lubiem tylko Jadwinie. I mamusie — i ciocie tys, — dodała po namyśle z kurtuazyą.

Ot, takie sobie dzieciństwo. Tyle jednak w niem słońca, beztroski, cichej rozkoszy...

Wojślawski oślepl.

Jednak to straszne. Choroba, która od pewnego czasu zaatakowała mózg, rozwija się dziś w tempie szalonym. Obecnie zabiła wzrok.

Starzec wciąż nie zdaje sobie podobno sprawy z swego stanu.

— Andrzej przytomny jest rzadko, — pisze Stefa, — o ile wogóle można to nazwać przytomnością. Niekiedy natarczywie domaga się odczytania listów z domu, słucha pilnie, próbuje usiąść.

— Jak to dobrze, że ja już niedługo wstanę, — powiedział mi niedawno.

— Niedługo wstanę... Zdanie to powtarza po parę razy dziennie, nawet gdy go przytomność opuszcza. Z myślą tą nie rozstaje się ani na chwilę. Boję się, strasznie się boję chwili, kiedy zrozumie, że już nie widzi.

— Taki mi jakiś ciemny pokój dali. Kaź, niech mię przeniosą gdzieindziej, — skarżył się dzisiaj.

— Pojmujesz i usprawiedliwisz mię, że w tych warunkach musiałam zaniechać osobistego odpoczynku i siedzę przy nim, jak dawniej. Lekarze mi już nie bronią. Powiedzieli wyraźnie, że to ostatnie jego chwile.

Będzie to dla mnie okropne. Mimo wszystko.

Myśleć o tem nie mogę...«

Tak jest — niewątpliwie. Stefa stoi dzisiaj w obliczu niezmiernie trudnej i niesłychanie poważnej chwili swego życia. Wiedziałem o tem od dawna i rozumiem, że teraz opuszczać mi jej nie wolno. Tak nakazuje mi mój obowiązek. Obowiązek serca.

Bo ją kocham.

Mówię to sobie dziś po raz pierwszy. Głośno, poważnie, z całą męską świadomością.

Tak. Kocham ją. Bo przyszła do mnie w chwili, gdy upadałem już pod brzemieniem życia, jakie sobie sam zgotowałem, bo położyła na mojej cho-

rej duszy uzdrawiającą dłoń i wydobyla z otchłani udręczeń i beznadziei.

Kocham ją sercem i rozumem.

Na krótko przed wyjazdem wręczono mi depeszę.

Otwierając, wiedziałem zgóry, co zawierała. Było tylko kilka wyrazów:

»Pogrzeb w środę. Przyjedź. Stefa.«

Stałem długo nieruchomy, zmartwiał, patrząc w przestrzeń oczyma, zimmemi, jak stał. Mały świstek papieru białal gdzieś, porzucony, a ponad nim wznosiły się ku górze ramiona moje ruchem dziwnym, rozprężając w żelaznem napięciu muskułów.

Przede mną stało naściężaj życie — nowe życie!

W drogę!

Po przybyciu do Krakowa dostałem się odrazu w całe gminne środowisko przedpogrzebowej tragikomedyi. W to, co stworzyły stosunki naszej cywilizacyi, konwenansu i ludzkiej ohydnej pospolitości.

Nastrój to jedyny w swym rodzaju. Najsroźszy nieraz ból własny, twarz umęczoną cierpie-

niem i bezsennością, obnosi się wśród zgrai ludzi ciekawych, żądnych wszelkiego widowiska, choćby się ono miało odgrywać kosztem wywlekania najserdeczniejszych tajników czyjej duszy.

Cały ten wstrętny proces przeżywa obecnie Stefa. Z wędrowki po krawcowych, modystkach, parafiach, zakładach pogrzebowych etc. — wpada z kolei w odmęt inny: przyjmuje w hotelu wizyty. Schodzą się różne zapomniane kuzynki, stare baby, mantyki i antyki, wiedźmy z piekła rodem — cała kolekcja najwstrętniejszej dulszczyzny. Ona zaś musi przejść pod całym pręgierzem tych spojrzeń inkwizytorskich, przyczajonych, natarczywych bezwstydnie, lub obłudnie współczujących.

Wszystkie one radeby zajrzeć aż w głąb jej duszy, brudnemi rękoma przetrząsnąć każdy jej nerw. byle tylko dociec, jaką jest skala żalu młodej, bogatej wdowy, byle policzyć jej lzy i poddać pilnej analizie obowiązkową bolesciwość jej twarzy.

Z Stefą rozmawiałem dotąd niewiele. Widzę, że jest przemęczona i że trwa tylko podnieceniem nerwów, po którym przyjdzie ciężka, nieodzowna reakcja.

Co się mnie tyczy, przeżywam szereg uczuć niezrozumiałych. Nie mam, na przykład, wrażenia, że chodzi tu o pogrzeb. Cała ta krzątanina, w której sam biorę udział dość czynny, przypo-

mina mi raczej jakieś gorączkowe przygotowania do podróży, lub jakiejś szczególnej uroczystości. Zabiega się tu o wszystko, ale nie dotyczy nieboszczyka. Cała pompa pogrzebowa, cały ten kłamliwy blichtr, jest tylko jakby karnawałowa fetą, przeznaczoną dla tłumu. Bo tłum ten tego wymaga, bo trzeba, aby miał czem napaść swoje oczy i biada temu, kto by chciał strawy tej mu odmówić.

A ów czyjś trupek, który całego tego piwa narwarzył, leży sobie tam gdzieś w przedpogrzebowej kaplicy i nie wie nawet o tym całym »sabacie czarownic«, który się tu na jego niby intencję odprawia. Bo gdyby czuł i wiedział, uśmiechnąłby się zapewne z beżmiernem politowaniem.

Ja osobiście muszę sobie uprzytomniać co chwila, o co właśnie chodzi. Dziwi mię czasem, że Stefa jest w żałobie, że wszyscy dla jakiegoś powodu mówimy szeptem i stąpamy na palcach. Widzę tylko jedno, że ona przeżywa chwile strasznej męczarni, że wprost upada. Niekiedy prostuje się, wstrząsa nerwowo główką, jakby przywołując się do przytomności, lecz za moment przymyka znów oczy bezsilnie w wyczerpaniu.

Chce jednak uczynić wszystko, czego domaga się świat. Chce opowiedzieć oficjalnym i nieoficjalnym wymaganiom i zachować siły do końca.

Pogrzeb nie pozostawił we mnie trwalszego wrażenia. Pamiętam, że tłum był duży, że grała z jakiegoś tytułu orkiestra, haniebnie poniewierając Chopina, że twarz Stefy zakrywał ciężki całun krepy, a ręka jej kuczowo opierała się na mojem ramieniu. Widziałem nawet dokładnie i siebie i ją w lustrzanej szybie toczącego się przed nami karawanu, z którego zwisały napół już przewiędłe wieńce i girlandy.

Dokola nas i za nami szły jakieś damy-pociotki, jacyś panowie o minach nieodmiennie sakramentalnych i skupionych. Kilka pań nałożyło nawet krepę, przypuszczalnie ex re »twarzowego« jej koloru, lub ewentualnych pretensyi do spadkobrania.

W powietrzu unosiła się woń kwiatów, nasycało je radosne lipcowe słońce i przesywały raz po raz posępne a zgrzytliwe akordy szopenowskiego marsza. W pewnej chwili muzyki tej zacząłem słuchać z uwagą, — wniknąłem w nią całą istotą. I nie wiem, czy grano ją fałszywie, czy pomyłono tempo, bo zagnęła zatraciłem wrażenie całego posępnego tragizmu, jakim zwykł w nas odzywać się ów marsz. Zabrzmiało w nim natomiast coś z tryumfu, coś z wyzwolenia i głośniejszej pieśni zwycięstwa, która uderza w cały świat, potrząsa nim i obwieszcza rzecz wielką.

Może to była muzyka mojej duszy... Nie pomnę.

W parę dni po pogrzebie Stefa rozpoczęła przygotowania do wyjazdu na południe. Od projektu odwiedzenia domu, gdzie należało poczynić pewne zarządzenia, dała się odwieść dość łatwo. Domyślałem się, że zamiar ów porzuca nawet z ulgą. Pobyt w tem wygasłem ognisku, które nigdy zresztą nie umiało otoczyć jej atmosferą ciepła, byłby niewątpliwie bardzo smutny, a ona tak bardzo laknie wypoczynku.

— Nie umiem powiedzieć, czy cieszę się, że jadę. Takie mi to wszystko dziś obojętne, że sama sobie się dziwię. Takbym chciała odpocząć... Za całe życie...

Narazie jedzie do San Remo. Namawiam ją, by pozostała tam dłużej, ewentualnie przeniosła się gdzieś nad morze. Chcę, aby spędziła poza krajem możliwie całą zimę. Odpocznie, zacerpnie siłę, zdrowia i zapomni — zapomni o całej udręce, która wypełniła najpiękniejsze lata jej życia.

Tu, w kraju, choćby to było nawet Zakopane, wszystko przypominałoby jej ustawicznie przeszłość. Ludzie, otoczenie, sama mowa — budziłaby echa, które powinny dla niej zamrzeć bezpowrotnie.

Postanowiliśmy, że ją odwiozę do Wiednia. W niewinny sposób przymówiła mi się o to sama, choć pewno sambym jej to zaproponował.

— Dalej już sobie sama poradzę, Zdzichu, ale teraz odrazu byłoby mi za trudno. Taka samo-

tność i opuszczenie, a ja się jeszcze źle czuję. Będzie ci bardzo wdzięczna. Później jakoś tam będzie, a przynajmniej mię w Wiedniu ktoś taki dobry, jak ty, Zdzichu, pożegna. Odjadę pod innym wrażeniem. Kraków mię tak przygnębił.

Jesteśmy w Wiedniu.

Stefa zamieszkała w Bristolu, a ja w Erzherzog Karl. Zresztą nie rozstajemy się przez cały dzień. Plan jednodniowego odpoczynku, po którym Stefa miała niezwłocznie udać się w dalszą podróż, okazał się niewykonalny. Siły opuściły ją prawie zupełnie, powodując szczególną apatyę. Przez pierwsze dwa dni nie opuszczała swego pokoju, siedząc w fotelu nieruchomo z oczyma, utkwionemi w jeden punkt. Naszło ją jakieś odrętwienie, z którego wyprowadzała ją tylko moja obecność. Ożywiała się wtedy na chwile i w spojrzeniu jej było wówczas tyle wdzięczności i słodyczy, że obudziłaby litość w najtwardszem sercu.

Obecnie od paru dni chodzimy na krótkie piesze spacery. Czasem do Stadtparku, gdzie siadujemy nad rzeczulką zdala od ludzi i kawiarniarnych gwarów, słuchając cichej rozlewnej melodyi nieodzownego walczyka; czasem na ringi, gdzie o zmroku pachną lipy i heliotropy.

Cudnie tu. Idziemy ręka w rękę, nie mówiąc ani słowa, a jednak rozumiemy się.

Czuję to. Jestem tego pewien. Czuję w lekli-

wem biciu jej serca. Widzę w spojrzeniu, które kryje w sobie tyle smutnej tęsknoty.

Moja Stefa... Moja, moja Stefa...

Jeździliśmy dziś do Schönbrunnu.

Stefa czuje się zdrowsza i bez wysiłku odbyła dłuższą wycieczkę po parku. Piękno natury oddziaływa na nią rzeźwiąco. Jest uśmiechnięta, zarumieniona. Wszystko ożywia ją i zachwyca.

W zwierzyńcu nie mogła się napatrzeć na przepiękne w rysunku stadko flamingów. Trwały, jak zwykle, w szczególnej swojej kontemplacji, każdy, jak kwiat, na smukłej bladoróżowej łodyżce.

Zwiedziliśmy całą, bardziej odludną okolicę parku aż do Hietziengu. O zachodzie usiedliśmy dla odpoczynku w długiej strzyżonej alei, niedaleko palacu. Po jednej stronie nad nami wznosił się poważny, niebotyczny prawie szpaler drzew, po drugiej biegła, nieuczęszczana przez gawieź, uroczą cicha drożyna, nakryta istnym baldachimem z róż. Były w rozkwicie. Pręty misternej, rozpiętej nad drożyną altany ginęły w nich bez śladu. Całe rozkoszne ich bogactwo śmiało się purpurą, sypiąc dyskretny, kolorowy deszcz płatków. Woń rozścielala się wokół silna, upajająca...

Stefa wdychała ją chciwie, pogrążona w niemym zachwycie.

Dokoła była pustka i milczenie. Słońce kłoniło

się poza konary drzew, blask nie raził i tylko zieleni i przepych kwiecica występowały w barwach jeszcze pełniejszych, jeszcze bardziej olśniewających.

Stefa ujęła mię lekko pod ramię i trwaliliśmy tak w zamyśleniu.

Nagle drgnęła. Spojrzałem.

Pod sklepieniami róż przesuwał się konno, ruchem powolnym stary cesarz. Biała, jak mleko, siwizna okrywała mu głowę i przez pół twarzy, odcinając się żywo od barwnego munduru generała.

Milczący był i surowy.

Stefa patrzyła nań szeroko rozwartemi oczyma prawie z lękiem.

— Dziwny człowiek. Dziwny i straszny człowiek... — wyszeptala po długiej chwili.

Zamilkła. Sylwetka pochylonego na koniu starca przesunęła się przed nami zwolna, uroczyście i znikła w powodzi kwiatów.

— Zdżichu, czy to prawda, — zapytała nieśmiało, — mówią ludzie, że człowiek ten nie miał serca?

— Dlaczego?

— Bo, widzisz... Opowiadają, że w życiu swem przetrwał wiele burz, że upokorzono go na polu walk, że uderzyły weń najstraszniejsze ciosy, że los w sposób tragiczny zabierał mu po kolei syna, brata, żonę, — a on pozostał, jak glaz, — niewzru-

szony. I trwa. I panuje. A przecież, gdyby miał serce...

— Być może, Stefo. Mówią także, że wielkim ludziom, a raczej tym, których świat chce mieć wielkimi, — mimo to, że w istocie są nieraz niewiarogodnie mali, — serce mieć niewolno. To też najczęściej nie mają ich w piersi. To dla nich organ niepotrzebny.

— A jednak żal mi go... Być może, iż nie cierpiał, jak wszyscy inni ludzie, ale i nie rozumiał radości... A ty, Zdzichu, — spojrzła na mnie niespodzianie, — ty przecież masz serce. Pokochasz więc i życie — wszak prawda?

Nie odpowiedziałem. Pytanie to padło tak nagle, że nie umiałem sformułować w słowa tego, co czułem. Spojrzałem na nią jednak z tak bezzmiernie wymowną miłością, że pochyliła głowę w milczeniu i widziałem, jak policzki jej opłynął ciemny rumieniec szczęścia.

Stefa wyjeżdża. Upewnia mię, że jest już zupełnie zdrowa. Mnie nagli, abym jechał prędzej do Jasińca, któremu brak należytej opieki i dbałego oka. Musiałem jej przyrzec, że zerwę conajprędzej kontrakt z dzierżawcą i zamieszkam w Jasińcu na stałe.

Wyznaję, że nie czynię w tym wypadku żadnej ofiary, bo istotnie przekonałem się w ostatnich czasach do ojcowskiej siedziby i przywiąza-

łem do tych starych kątów, tembardziej, że Stefie sprawia to widoczne zadowolenie.

Zresztą, pełno tam wspomnień mego dzieciństwa, wśród których brak mi coprawda postaci mej matki, ale jest za to moja dobra beztroska młodość. Młodość ta zdaje się teraz odradzać na nowo, a wspomnienia, których Jasieniec jest pełen, ucieleśniają się nieuchwytnie.

O mojem ostatecznem postanowieniu powiedziałem jej dzisiaj.

Ucieszyła się, jak dziecko.

— Wiesz — gdyby to było siedmnaście lat temu, ucałowałabym cię, — zażartowała wesoło.

Spotkaliśmy się na skwerze u pomnika Maryi Teresy pod muzeum.

Ranek słoneczny był. Wodotryski szumiały nam wesoło, w słońcu igrały perły ich pian, a my gawędziliśmy z ożywieniem, jak dwoje starych przyjaciół.

Stefa karmiła z ręki gołębie, ptaki niegodne, które gnieźdzą się tu gromadami, profanując w najbezcześniejszy sposób głowę korpulentnej monarchini, łącznie z głowami wielkich męzów jej epoki i lbami wielkich koni, na których wielcy męzowie ci zasiedli. Ptactwo z całą ufnością lgnęło do ziarna i słodczy, sfruwając Stefie na ramiona, lub wprost na białe, dobre jej dłonie.

Było nam dzisiaj pogodnie i wesoło. Cieszyliśmy się tem oboje, wróżąc, że jeśli dzień roz-

stania wstał nam pod znakiem tak laskawym, to i przyszłość zgotuje nam dnie bez zmierzchu.

Szczególnie. O swej przyszłości nauczyliśmy się już mówić, jak o rzeczy wspólnej, choć tyle jeszcze musimy sobie powiedzieć — kiedyś, — kiedy czas przyjdzie.

Wyjeżdżając, była równie pogodna.

Na dworzec południowy pojechaliśmy w otwartym powozie konnym, pomijając zbyt tutaj modne, ale też i zbyt hałaśliwe samojazdy.

— Niech nam się zdaje, że jesteśmy na naszej polskiej wsi, w swoim własnym pojeździe z czwórką siwych, jabłkowitych cugowców, — mówiła Stefa.

Na stacyi kupilem jej więź ślicznych, złotych róż. Uderzyło mię, że są to właściwie pierwsze kwiaty, jakie jej składałam.

Mimowoli uśmiechnąłem się. Pierwsze kwiaty...

Pociąg ruszył. Ona stała w oknie, śmiała się swoim jasnym uśmiechem i całowała me kwiaty.

W Wiedniu pozostałem jeszcze przez parę dni.

Lubię to miasto. Mieszkałem tutaj kiedyś czas dłuższy za moich młodych, dobrych, studenckich lat. Znałem wtedy każdy zakątek śródmieścia, ka-

żdy zabytek sztuki, każdy stary dom niemal. Wydeptałem po stokroć posadzki wszystkich muzeów, zaciszne ścieżki plantacyi, — śpiewałem z towarzyszami w piwnicach średniowiecznej winiarni Am Hof, marzyłem w młodym uroczym parku Maria Josepha, lub przedsiębrałem pierwsze tajemnicze wyprawy młodzieńczych psot w ogrodzie Esterhazych.

Znałem tutejszy świat i ludzi i zżyłem się z nimi.

To też dziś każdy zaułek przemawia do mnie swoim własnym językiem i wita przyjaźnie i gemütlich. Po wiedeńsku.

Bo też dziwne to miasto. Nie nasze — obce, — a jednak można je bardzo kochać. Prawie niczyje — jak mozaika bezładna z tysiąca nieskoordynowanych napozór złożona elementów, a jednak ma swój typ i swoją fizyognomię ciekawą i ujmującą.

Miasto szczególnie. Nie myślące, ale i nie bezmyślne. Pracuje i śpiewa. Przy pracy myśli o zabawie, lecz, bawiąc się, zapomina o całym świecie. Jakaś oaza beztroskich optymistów, zadowolonych z siebie, swego trudu, swego dziś i swego jutra, wróżącego im zawsze pogodę. Miasto ludzi, którzy w świętek czy piątek we wszystkim odnajdują ukrytą krztę wesołości, wszelką troskę paraliżują dowiecipem i nawet w środę popielcową, posypując głowy popiołem, mają na sobie zawczasu

strój arlekina na nową wielkopostną redutę. Miasto, gdzie każdy swoje konkretne czy urojone szczęście wynosi na światło dzienne, gdzie do życia i słońca śmieje się cała ulica, gdzie nawet stara spracowana kobieta, wespół z psem naladowany wózek ciągnąca, siebie i psa bibułkowym przystraja kwiatem... Miasto, w którym z każdego okna, z każdych ust niemal uderza w nas nuta rozspiewanego walczyka, gdzie niema wprost twarzy pochmurnej, a każde oczy i usta ozdabia uśmiech radości i swawoli.

W święto bawi się. Bawi niewykwintnie, nawet płasko, ale z całej duszy. Zalewa gwarny Prater z mnóstwem swych popularnych rozrywek, wypełnia karkołomne kolejki, karuzele, »zaczarowane« groty, tatersale — wre rozgwarem w winiarniach, teatrach i kabaretach.

Przez te kilka dni spacerowałem z kąta w kąta bez celu i planu i było mi tak zupełnie dobrze. Całą przeszłość wydobywam w ten sposób z zapomnienia powoli i z pieczołowitością. Otrząsam z kurzu lat późniejszych i wehlaniam w siebie.

Raz zaszedłem do katedry św. Szczepana. Dawniej bywałem tam dość często. Stwarzała ona we mnie nastrój dziwnej powagi i podniosłości. Pamiętam, że było to coś nieokreślonego, ale pociągało mnie zawsze niezwykle. Zwłaszcza, gdy w pustej prawie świątyni pod sklepieniami grały gdzieś zcicha i posepnie organy, a w dole od

ciemnych rzeźbionych stall, od wnek, kaplic i z pod ścian odzywała się pieśń ponura, napozór monotonna, miarowa, ale z każdym słowem bijąca w akord coraz potężniejszy, błagalny i rozteskniiony.

Trafem jakimś śpiewano ją i tym razem. Świątynia tonęła napół w mroku, panował chłód mogilny, a pieśń uderzała w stropy, rozjęczana i dziwnie zarazem harmonijna.

— Heilig... Heilig!... Heilig!!

Coraz mocniej, coraz wymowniej, z coraz większą potęgą.

Święty!... Święty!!

Skronie schylają się w pokorze, pełne bólu i wszechożywającej otuchy.

Niedawno jeszcze na widok ów przez usta moje przewinałby się zapewne uśmiech pobłażania lub ironii, dziś jednak modlitwa ta mówiła do mnie językiem prostym i rozumiałem ją. Przemawiała językiem duszy. Rodziło ją nie tylko cierpienie, ale i bezmierna tęsknota do ideału, zamknięta w jednym jedynym słowie, które łączyło w sobie treść wszystkich trosk i upragnień.

I głowa moja chyliła się przed tą pokorą duszy tłumu pokłonem mimowiednego szacunku i braterstwa.

W Jasińcu jesień — złota i pogodna.

I tylko pusto, głucho — samotnie... Smutno... liście opadły. Leżą na ziemi bezsilne, poszarpane, zwiędłe. Wiatr niemi miota, jak igraszką, a one, z drzew spadając, szemrzą smutny, cichy, pożegnalny hymn.

W parku chłód. Świat obumiera — uklada się do snu. Ostatnie, przymrozkami zwarzone już astry — zdają się płakać swą czerwoną, od ros zwilgotniałą rzęsą.

Skąd mi się wziął dziś ten nastrój? Nie wiem. Bo, że Stefy mi brak — nie boleję. Ona tam młoda, szczęśliwa, w kraju wiosny... I zdrowa. Wypoczywa po wszystkich zawodach i cierpieniach, które nadwątlily zdrowie jej ciała, choć zahartowały duszę, czystą, jak kryształ i pogodną, jak dzień wiosenny.

Ja tu z nią zresztą obcuje prawie ustawicznie. Rozmawiam, jak z kimś obecnym, spowiadam się z każdego czynu, z najdrobniejszych zamierzeń.

Gawędzę w sercu i w listach.

Pisujemy do siebie bardzo często. Moje listy

są z natury lakoniczniejsze i rzadsze. Jej — pełne wrażeń, szczebiotu i pustoty, przeplatanej chwilami myślą dziwnie poważną i głęboką. Czasem w ulotnych listach pocztówek, kreślonych na przędcie w podróży, niekiedy w listach długich, jak serdeczne opowieści.

Ja piszę o sobie i Jasińcu. Puścićnę moją objąłem ostatecznie od października. Pracy mam moc. Dosłownie utonąłem w niej po uszy. Jasińiec — zaniedbany, eksploatowany rabunkowo, bezładnie, dla doraźnego zysku. Ot, — w dzierżawie. Budynki opuszczone, pałac podniszczał, sypią się tynki i sztukaterie. Zabiegam o to i owo, ale to troski najblahsze.

Wysilek cały prowadzę w innym kierunku. W mojej fachowej wiedzy czas poczynił szczyrbę i luki. I niekoniecznie sam czas. Była ona przecież tylko teoretyczna, a tymczasem dziś rzeczywistość woła i nagli.

Kazałem sobie przysłać swe stare skrypta i podręczniki z »Bodenkultur«, wertuję je zawięcie i szperam w swej pamięci, czy zachowała co z rozpoczętej lecz rychło poniechanej praktyki. Lwią część dnia zajmują mi konferencje z rządca, który bez mała jest teraz moim nauczycielem, choć kształciła go tylko rola.

O świecie jadę już w pole. Doglądam orki, siewu, kopań, lub młocki na folwarkach. Kontroluję wszystko i przekonywam się naocznie, czym jest

współzycie teorii z praktyką. Zyskałem wiele. Poznałem swoją »chudobę«, wnikam w cały jej ruch i organizm i uczę się ją kochać. Wstępując we mnie zdrowie, ustala się równowaga, znika bez śladu bezczynność i abnegacya.

Zapoznałem się z tężyzną natury i zwolna staje się jej istotną częstką składową — człowiekiem.

Idąc, mam wrażenie, że ziemia pode mną drży.

To swój! To nie obcy już, nie przybysz, który języka jej nie rozumie. To kroki różne i idą do swego wytkniętego celu.

Ciesz się, że Stefa zastanie kiedyś, z wiosną, zgoła inny Jasieniec. Jasieniec mój, znany w każdym calu, piękniejszy i pożyteczniejszy, niż wczoraj.

Może mi się też uda zaprowadzić i inne zmiany. Rozmyślam nad tem konkretnie i rozważam cały szereg projektów.

Okolica jest bardzo zaniedbana. Potrzeby kulturalno-oświatowe są naglące, nikt jednak nie zwraca na nie uwagi. W całej gminie jest tylko jedna szkołka, prowadzona, jak za króla Goździka, ciasna i niehygieniczna. Szpital w miasteczku przypomina wszelką instytucję, prócz tej, którą być winien. Ochrony niema wcale.

Niechętnie wprawdzie, ale w poczuciu obowiązku, złożyłem w najbliższych sąsiedztwach szereg wizyt, aby te sprawy poruszyć.

Niestety, zblądziłem się sromotnie. Każdy »obywatelski« dwór przyjmował mię z wylaniem i ciekawością, rozłaczał splendor domowy i staropolską gościnność, niekiedy nawet witał wielce patryotycznymi zwrotami na temat, że to... hem, powróciłem, panie, na ten zagon ojczysty, ale, gdy przyszło do rzeczy i zapachniało wysupłaniem gotówki, cofano się w ślimaczą skorupę z przezornością i kosem wejrzeniem.

Zresztą nie szczędzono mi komplementów, podnoszono szlachetność, posłannictwo, — nawet nie brakło zapewnień, że, gdy co do czego — niejeden z nas, co mówię, — każdy z nas... No i, naturalnie, kończyło się na niczem.

W rezultacie szkołkę otwieram sam na miejscu. Narazie na jednym z folwarków, bo w Jasieńcu odpowiedniego budynku brak, zwłóczyć zaś nie chcę. Kosztorysy ochronki zamówiłem w Warszawie. Ta ostatnia będzie już poważniejszą pozycją w budżecie, ale z wiosną stanie napewno.

Piszę o tem wszystkiem Stefie, ona zaś każdą wiadomość przyjmuje z entuzjazmem i płaci mi słowami radosnego uznania.

Pierwsze jej listy z San Remo pełne były tęsknoty za krajem i smętku. Była wtedy naprawdę bardzo osamotniona.

— Leczę się za to forsownie, — pisała, — cały dzień spędzam w słońcu na wygodnym leżaku,

lub na spacerach krótkich, bo chodzić mi nie pozwalają. W lecznicy osób teraz niewiele i sami cudzoziemcy. Czytam dużo, ale mię to męczy i nie wystarcza. Boję się jakoś teraz samotności. Rozstraja mię i przygnębia, choć fizycznie czuję się już o całe niebo lepiej.

Zastanawiam się nad tem, czyby nie przenieść się do pensjonatu. Gruźlicy przecież nie mam, więc przysługuje mi prawo przebywania między zdrowymi ludźmi, a kuracyi, jako takiej, prawie nie prowadzę. Krzepi sam klimat, a porada lekarska tylko kieruje jego pracą.

Myślę ciągle o kraju i o Tobie. Jak się czujesz w tem nowem, a tak od dawnego odmiennem środowisku? Radabym, aby Cię ono umiało zjednać, byś je pokochał i chciał uznać za swoje własne i jedyne. Myślami nieraz wylatam stąd do tych pól i upatruję wśród nich Twojej smutnej twarzy. Choć może już nie smutnej i nie tak surowej. Może to złote słońce pięknej, jak powiadasz, jesieni — zdołało cię rozbroić i »przyhołubić« po swojemu.

Ono takie mądre, mocne i dobre. Modłę się o to i marzę o tem bez przerwy. O Twojem szczęściu, Zdzichu«.

Po miesiącu listy zaczęły napływać odmienne, weselsze i pełne ożywienia.

— Wyobraź sobie, kogo tu w pensjonacie spotkałam. Luczije Serdinescu — moją serdeczną,

kochaną Luczije! Od tej chwili cały tutejszy świat przedstawia mi się zupełnie inaczej. Przez cały dzień nie możemy się obie naopowiadać dowoli. Bo też od dnia, w którym zegnaliśmy się w klasztorze, oddziela nas cały ogromny szmat życia. Rzuciło ono nami w dwie różne i dalekie strony, postawiło w warunki tak nieskończenie odmienne — i dziś kaprysem losu pozwala odnaleźć się po tylu latach.

Towarzystwo jej nie daje mi zastanawiać się nad tysiącem rzeczy smutnych, których wspomnienia, napływające w samotności, nie szcędzą. Ta dziewczyna umie być istnem uosobieniem humoru i życiowej brawury. Drwi z życia, ale i entuzjazmuje się niem. A przytem niewyczerpana jest w pomysłach i zawsze pełna inicyatywy do rozrywek i wesołości. I niekoniecznie dlatego, że jest ode mnie znacznie młodsza. Taką już była zawsze, taką zapewne urodziła się pod słońcem swojej ojczystej Rumunii. Temperament ten jest jej pięknem wrodzonym. Pod tym względem jest prawdziwą córą Południa. W towarzystwie usiłuje niekiedy nadać mu pozory pozy, pokrywa najniepotrzebniej nonszalancyą, ale są to tylko naleciałości.

Podlotkiem bardzo piękna, jest teraz w rozkwicie swojej niepospolitej urody. Wysoka, zgrabna, sprężysta, szykowna, jak Paryżanka — zwraca powszechną uwagę niezwykłością swego typu.

Włosy ma kruczo czarne, twarz cery lekko śniadej, przez którą przebijają mocny, choć matowy rumieniec i przy tem oczy przedziwnie jasne o odcieniu szaroniebieskim, jak morska toń.

Tak też je tutaj wszyscy nazywają: morskie oczy.

Zapytałam ją kiedyś zniecka, dlaczego do-
tąd nie wyszła zamąż. Skrzywiła się pociesznie i śmiała długo, zagadkowo. Powiedziała mi wreszcie, że mąż byłby dla niej kulą u nogi. Chce być wolną i zależną tylko od swoich kaprysów, a na te nie zgodziłby się pewno żaden mężczyzna.

Istotnie — przyswoiła sobie wiele ekscentryczności kobiet bogatych i wolnych. Pasyą jej są podróże. Wypełniają jej całe życie. Zartuje, że musi mieć w sobie nieco krwi cygańskiej, o co na Wołoszczyźnie nietrudno. Naturalnie, jest to tylko żart, gdyż, o ile mi wiadomo, należy do jednego z najstarszych rodów bojarskich.

Podobno czasem przeżywa chwile przesytu wielością wrażeń, doznawanych wśród ustawicznej włóczęgi. Ginie wtedy na długie tygodnie gdzieś w małej wiosce alpejskiej, lub nad norweskim fiordem i wypoczywa.

Rumunii nie odwiedza prawie wcale. Zauważyłam, że mało ma przywiązania do swej ojczyzny. Kiedy raz wprowadziłam rozmowę na ten temat, sprawiło jej to przykrość.

— Widzisz, Stefo, — odrzekła, — wychowa-

niem mojem pokierowano tak, że nie zbrakło niczego, aby mię tego przywiązania pozbawić. Dziś już zapóźno. Trzebaby wszystko zacząć od początku, a na to musiałabym być drugi raz dzieckiem.

Zaśmiała się sucho i niezwłocznie zmieniła temat rozmowy.

Chwilami skłonna jestem przypuszczać, że w jej przeszłości, niedawnej może, tkwi jakaś tajemnica. Jeśli tak, to ukrywa ją bardzo zazdrośnie, mimo ogromnej w stosunku do mnie szczerości. Wogóle Luczija należy do tych istot otwartych, które gotoweby nieraz śmiertelny grzech wyznać w przystępie serdeczności.

Tu, w San Remo, przyjaciółka moja stała się dla mnie najczulszą siostrą. Dba o mnie do przesady. Czuwa nad wypoczynkiem i zdrowiem, rozprasza złe zamyslenia, — słowem, radaby uczynić mię najweselszą i najszczęśliwszą istotą.

Wdzięczna też jej jestem za to ogromnie. I jej i przypadkowi, który nas złączył. Bo istotnie jej przyjazd do San Remo jest tylko przypadkiem. Zatrzymała się tu w przejeździe i wyłącznie dla dogodzenia chwilowemu kaprysowi, gdyż rzeczywiście nie jej nie mogło pociągać do tego, pięknego wprawdzie, ale mało interesującego zakątka garstki skwaszonych kuracuszów. Sama jest przecież synonimem zdrowia. Silna, zahartowana, odbija rażąco od tutejszego otoczenia.

Była obecnie w drodze do Paryża, ale zmieniła plan. Domyślałam się, że czyni to tylko ze względu na mnie, bo projektuje, byśmy razem pojechały do Nizy. Być może, że się dam nakłonić. Sama nie ruszyłabym się stąd, ale z Luczija będzie mi tam napewno bardzo dobrze.

I znów list inny, który ucieszył mię niezmiernie pogodą swego nastroju, świadcząc o dobroczynnym wpływie nieznaney cudzoziemki.

— Uśmiejesz się zapewne, widząc, że piszę już z Nicei. Jesteśmy tu obie od kilku dni. Mieszkamy razem w olbrzymim, po amerykańsku urządzonej hotelu z oknami na morze. Listopad już na schyłku, a w pokoju mym pełno kwiatów, którymi Luczija formalnie mię obsypuje.

Przed południem jeździmy obie łodzią na pełne morze, oddychamy przezczystem słonem powietrzem, patrzymy w ciche lazurowe niebiosy i nieskończony obszar wód i wchłaniamy spokój i harmonię świata.

Łódź kołysze się lekko, trącana falą łagodną i pięściwą.

Pięknie tu. Pięknie, jak w marzeniu.

Gdy wracamy, Luczija wiosłuje wespół z gondolierem i śpiewa z nim stare rybackie piosenki. Nawet ja próbuję wtórować. Później przez cały dzień towarzyszy nam jakaś rzeźwość i iście wilczy apetyt.

O mnie się nie bój. Byłam u doktora, ale so-

bie ze mnie i moich obaw żartował. Tem niemniej, ubieram się ciepło i sypiam okrągłe dziesięć godzin na dobę. Gdyby mi nawet przyszła ochota na jaką niesforność, nie pozwoli mi na nią Luczija.

Czasem, gdy ją nachodzi jakaś ekscentryczna fantazya, wyjeżdża wieczorem do Monte i gra. Zresztą, rozrywka ta nie jest jej namiętnością. Traktuje ją raczej jako podniecie i sposób zabicia chwilowej nudy. Wraca niekiedy z dużą wygrana, rzuca do biurka zwój banknotów — po to, by je następnym razem przegrać z nawiązką.

Za to inne emocje działają na nią, jak szampan. Przepada za ruchem, zmianą otoczenia, za życiem bujnym o żywiołowych przejawach i wykintnej formie. Humor, śmiech, dowcip — to jej bożyszcza. Niekiedy dziwi mię, że umie przytem zdobyć się na tyle subtelnej, sielankowej prawie tkliwości, jaką mnie obdarza. Wszystko przecież przemawia, że to nie leży w jej typie.

Dlatego wierzę, że kocha mię naprawdę.

Na ostatniej stronie listu znajduję przytwierdzony przekaz na jeden z banków warszawskich i drobnem pismem skreślone post scriptum:

— Może się będziesz na mnie gniewał za to dziwactwo, ale przebacz i przyjmij je pobłażliwie. Pisałeś o ochronce, a ja tutaj ułożyłam sobie projekt, na którym mi serdecznie zależy. Podobno kosztorys opiewa na 20 tysięcy rubli. Otóż ja jestem taką egoistką, że pragnę uczynić zamach na Two-

ją miłość własną i uszczknąć z Twego dobrego czynu coś dla siebie. Taki, widzisz, kobiecy egoizm podyktował mi chęć podzielenia z Tobą nie pracy, tej najtrudniejszej i najpiękniejszej połowy dzieła, bo mię na to nie stać, — a tylko kosztów materialnych. Załączony przekaz na 10 tysięcy płatny jest każdej chwili.

Nie odrzucaj tego, Zdzichu. Może to brzydtko z mej strony, ale ja tak bardzo pragnę choć małą cegiełkę własną dorzucić, tak mi się uśmiecha myśl, iż my we dwoje, nierównemi coprawda siłami, czynimy jednak coś wspólnie, że nie umiem sobie tej przyjemności odmówić.

Czytając te nieśmiałe, pełne delikatności i uczucia wyrazy, czuję, jak w sereu mem tają ostatnie lody przeszłości, ustępując nieodczuwalnej dotąd słodyczy i tęsknocie.

Moje biedne, najdroższe maleństwo. Marzy o naszej pracy... naszej wspólnej pracy...

Zima już... Grudzień na schyłku. Wigilia.

Odszedłem od Jasińca szmat drogi długą aleją topolową, wiodącą przez lasy ku miastu. Śnieg pod stopami chrupie rażno, a mróz, mimo słońca, dobiera się, jak hultaj, do mych uszu, schowanych pod wysoki kołnierz półkożuszka.

Po całonocnej zawiei, w której napewno wszystkie wiedzmy rozpoczęły zimowy swój karnawał, dzień wstał słoneczny i mroźny. Zasy śnieżne przywarowały pod miedzami, potulne już i łaskawe, a słońce krzeszło z nich tysiące oślepiająco srebrnych skier. Cisza południa zdawała się odzwaniać zawczasu wielkie święto świata.

Na ramieniu w takt kroków kołysze mi się strzelba, torba zwisa u pasa. Rynsztunek do polowania. A prosi o nie wprost ten czas ponowy i stężalych przymrozkiem mokradel. Tylko psa brak.

Ani mi jednak w głowie polowanie. Zwykły to mój ubiór maskaradowy, pod którym kryję przed służbą swoje wycieczki ku lasom. A z opinią wioskową liczyć się trzeba, bo to anioł stróż, który cie z oka nie spuszcza i biada temu, kto się dostał na ostrze jej sarkastycznej inkwizycyi. Bo chłop — to nacya spostrzegawcza. Na wszystko patrzy pod kątem utylitarnym, a drwi z tych, co się trudnią szukaniem wiatru po polach.

Dlatego też muszę być myśliwym. Myśliwym, który poluje na tętent kopyt swego własnego kuca i drży oczekiwaniem, gdy zza wzgórką wychyła się znany kudłaty leb koński z chudym wyrostkiem na siodle. Drży, bo to poczta z miasteczka...

Przysiadam na wywianym kopcu przydrożnym i ogarnia mię spokojna zaduma.

Nie jest mi smutno. Nie czuję niepokoju. Tę-

skno tylko, ale nie boleśnie. Tęskno i dnie się wloką pomału, a ubywają leniwie, choć radbym je przesuwac w przeszłość, jak uczeniak, zmywający kredowe kreski, symbole dni, dzielących go od świąt.

Samotność mi nie ciąży. Owszem — czuję, że w pewnych warunkach może być dla człowieka skarbem szacownym, ale o wieleż rozkoszniejsze byłoby nasze sam na sam. Tutaj, w tym cichym dworze z potrząskującym swawolnie ogniskiem na kominkach, — we dworze, otulonym gęstwą zasniezionych drzew, które szeleszczą w długie wieczory tajemniczo, zwierając się nawzajem w sobie tylko znajomych narzeczach.

Ale Stefa wróci nieprędko. Zima głosi dopiero swoje pierwsze ze światem zapowiedzi, a wiosna za górami. Z wiosną tą zawita i moja płaszyna. Na dziś musi mi starczyć szczebiot jej listów i to, że jej tam dobrze i wesoło.

Dobrze jej. Drugi już miesiąc obiedwie z panną Serdinescu zwiedzają Włochy. Listy Stefy — to kalejdoskop, pełen obrazów żywych, wypukłych, malowanych jej szczerem, dziecinnym prawie językiem entuzjazmu. Neapol, Capri, Florencia, Rzym — to etapy, z których nadchodzą do mnie te kartki ulotne, zapisane jej drobnem piśmem, drobiazgowo do szczegółów, lub kreślone pospiesznie na wyjeźdnem w krótkich pauzach wypoczynku.

Nie rozstaję się z niemi na chwilę.

I teraz w mroźnym poranku przeglądam je jeszcze, jak to już po tylekroć czyniłem.

Oto ostatni.

»Cudnie tu, nie masz pojęcia, jak cudnie, Zdziachu. Widziałam kiedyś te skarby z Andrzejem, ale nie wszystkie i innemi jakimiś oczyma. Dzisiaj nabrały dla mnie wyrazu i przemawiają silnie. Zwiedzamy razem galerye, świątynie, muzea, miasta i urocze zakątki prowincyi. Oglądamy naturę i sztukę. Żyję, jak zaczarowana. Czemuż tu Ciebie niema, Zdziachu! Jakżebym chciała widzieć to kiedyś raz jeszcze z Tobą...

Luczija obraca się w tym świecie, jak we własnym. Zna to wszystko dokładnie, więc umie być nieocenioną przewodniczką. Przytem zauważyłam, że pogłębiła swą wiedzę poważnie i wyjątkowemu zmysłowi estetycznemu dała odpowiednie podłoże. Zdradza się z tem jakby od niechcenia, ale tem niemniej wiele się przy niej nauczyłam.

Dokąd się teraz udamy, nie umiem Ci nawet określić. Luczija twierdzi, że najpiękniejsze podróże są bez planu. Uwielbia zawsze przypadek. Przekonywa mię, że, skoro mam czas do wiosny, możemy się zdać na łaskę temu najlepszemu doradcy turystów.

Narazie siedzimy w Rzymie, gdzie oprowadza nas i ciceronuje niejaki pan Żegota, z którym zetknęliśmy się przy freskach watykańskich. Ory-

ginal nielada, przedstawił nam się sam i, jako cudzoziemkom, zaofiarował swe usługi. Uczynił to w sposób tak cudaczny, że rozbawiona Luczija pozwoliła oprowadzać się po salach Watykanu do końca dnia, poczem szczegół po szczególe wylizyła mu wszystkie nonsensy, jakich się w swoich »rzeczowych objaśnieniach znawcy« dopuścił. Towarzysz nasz uczul się tem nieco zaskoczony, ale odrazu przyznał, że, nie wiedząc z kim ma do czynienia, od czasu do czasu, kiedy mu pamięć, lub wiadomości nie dopisywały, puszczał wodze fantazyi.

Tem niemniej, jak się okazało, jest to człowiek bardzo wykształcony, tylko w zakresie sztuki grzeszy pewną ignorancją, do której zresztą sumiennie się nam przyznaje. Wyobraź sobie, że dopiero następnego dnia dowiedzieliśmy się oboje, że jesteśmy rodakami. Żegota bowiem umiał pochwycić dysponowaną szoferowi nazwę hotelu i w dość szczególny sposób złożył nam nazajutrz wizytę. Luczija zapewnia, że od dania mu odpowiedniej nauczki powstrzymał ją tylko kaprys, przewiduje w nim bowiem typ, godny obserwacyi.

Istotnie, człowiek ten sprawia wrażenie dwopakie. Ma w sobie coś z światowca i prostaka razem. Jest podobno antropologiem, a jednocześnie autorem *par excellence* literackich korespondencyi do jednego z dzienników warszawskich. Przypuszczam, że to drugie umożliwia mu podró-

zowanie w celach ściśle naukowych. Z poety ma w sobie niewiele. Chyba tylko ubiór, w szczegółach nienaganny, ale w całości cudacznie jakoś nieskładny i śmieszny, no i naturę impulsywną i skłoną do zapalczywych walk z wiatrakami. Luczija, która się nim bawi w najlepsze, utrzymuje, że jest to istne pudło, naładowane najfantastyczniejszymi teoryami z zakresu socyologii, ekonomii i nauk politycznych. Ona, naturalnie, nie traktuje dyskusyi tych na seryo, tylko wyciąga go na słówka dopóty, aż ten nie wpadnie w zapal i nie pocznie zwalczać niewidzialnych oponentów. A czyni to przy akompaniamencie gestów tak dosadnych i rozwichrzonych, że nie powstydziłby się ich pierwszorzędny aktor dramatyczny. Wtedy nie umiem wprost powstrzymać się od śmiechu, tembardziej, że Luczija umyślnie, słuchając go, przybiera minę szelmowsko namaszczonej, jak średnio-wieczna wyznawczyni nowej sekty.

Z tem wszystkim towarzysz nasz umie być i obyty i interesujący. Zwłaszcza, jeśli zapomni o swych teoryach, które są nietylko radykalne, ile zadziwiająco fantastyczne. Ma i swój rodzaj dowcipu i pod tym względem oboje z Lucziją rozumieją się wybornie. W galeryach bawi nas swemi spostrzeżeniami na temat dzieł sztuki, które interesują go ze strony zgoła odmiennej. Podczas gdy my z Lucziją zamykamy się siłą wyrazu jakiejś bohaterkiej, czy ewangelicznej postaci, Żegota

wtrąca z nagłą uwagą o budowie czaszki Prozerpiny lub wyprowadza wnioski o stopniu inteligencji którego ze świętych Pańskich. Dla niego wszystkie te natchnione czy ascetyczne głowy są jedynie kompleksem guzów, splaszczzeń, szwów i tym podobnych określeń z zakresu antropologii.

Kiedy i dokąd stąd wyruszymy, zależy to będzie od decyzji Lucziji, która jednak narazie nie chce sobie psuć humoru układaniem planów i czeka aż jej się same nasuną.

Przypuszczalnie na resztę zimy wrócimy do jakiej cichej miejscowości w Szwajcaryi, a w lutym pojedziemy oglądać sezon kwiatów na włoskiej Rivierze. Pan Żegota wyjeżdża stąd za trzy dni na Korsykę. Ucieka przed chłodem. Istotnie, — zimno tu już chwilami i dżdżysto, choć Luczija w doskonałym humorze».

Wytworne welinowe karty listu chwieją mi się w rękę, a wzrok biegnie w dal, jakby chciał przebyć te dalekie przestrzenie i ujrzeć ją choć raz jeden — na chwilę.

Jaskrawe przed chwilą słońce poczęło blednąć i niebawem przesłoniło się jakby bielmem, które odarło je z promieni, zamieniając w jakiś biały papierowy dysk. Brzask dnia nabrał matowej mleczno-szarej barwy, a wreszcie zasnuł się mgłami, z których jęły się sypać zrazu drobne, niewidzialne pyły, a w chwilę później płyły gęste i puszyste.

W mgnieniu oka nad światem rozhułała się już na dobre polska śniegowa zadymka.

Marzenia pierzchy. Przetarliśmy zaproszone śniegiem oczy, ruszyłem ku domowi. U skraju lasu do uszu mych dobiegł stłumiony tętent i zza tumanów zawiei wychyliła się wkrótce sylwetka ośnieżonej szkapy i chłopca.

Zdarł kuca prawie tuż nad mą głową i zeskończył.

— Jest list do jaśnie pana!

Spojrzałem na kopertę. Przed oczyma zaczerpniał mi wyraźnie odcisnięty stempel pocztowy z jednym wyrazem: Ajaccio...

Nie wiem dlaczego, ale przejął mię jakiś niepokój. Niepokój śmieszny, nieuzasadniony, a jednak dziwnie natrętny.

Kopertę skryłem w kieszeni i począłem przemierzać drogę krokiem śpiesznym, napół gorączkowym. Czuję instynktowny lęk przed tym listem. Boję się go otworzyć.

Zadymka pluje w oczy, skronie palają, a w głowie, jak uprzykrzone owady, kolacze się bez związku:

— Ajaccio... Żegota... panna Serdinescu...

I dziś wigilia, a Stefa tam, między nimi — daleko.

Uroczysty stół wigilijny, nakryty sianem i białym, jak śnieg, obrusem.

Przy nim ja sam. Sam jeden. Głowę ukryłem w dłoniach i myślę, choć nie wiem, doprawdy, o czym. Ręką kilkakroć sięgałem już w zanadrze, cofając się za każdym razem. Wreszcie dobywam małą kopertę. Dłoń moja drży.

Na obrus upada coś białego. To opłatek. Tak... opłatek. Przysłała mi na wigilię. Na wigilię... Więc to naprawdę.

List był dość krótki.

— »Ciekawam, co na to powiesz: jesteśmy już na Korsyce. Przedwczoraj ani mi się śniła ta podróż. Byłam pewna, że pojedziemy gdzieś nad szwajcarskie jeziora, gdy tymczasem wieczorem Luczija oświadczyła, że za kilka godzin wsiadamy na statek, płynący do Ajaccio. Zaczynam na serwo przekonywać się do jej turystycznych teorii, bo Korsyka formalnie mię podbiła. Niezrównany krajobraz południa zachwyca i przykuwa wzrok na każdym kroku.

W Ajaccio zabawimy bardzo krótko, bo wyruszamy niezwłocznie do którejś ze szczerych zapadłych wiosek korsykańskich. Luczija układa cały plan sielankowej wilegiatury w zwykłej chacie, między prostymi ludźmi i nawet z własnym gospodarstwem. Być może, iż spędzimy tam czas dłuższy. Przyznaję otwarcie, że perspektywa ta uśmiecha mi się bardzo. Odetchnę w ciszy, zdala

od wielkiego świata, umalowanych kobiet, pierwszorzędných hoteli i całego powierzchownego przepychu naszej cywilizacji.

Wdzięczna też jestem szczerze Żegocie, że umiał rozentuzymować Lucziję do tej podróży. On sam przez całą drogę był w bajecznym humorze, a na miejscu okazał się naprawdę pożyteczny, bo Korsykę zwiedzał już kilkakrotnie. Obecnie zamierza przeprowadzać jakieś badania z zakresu swej specjalności na południu wyspy, obierając sobie Ajaccio za siedzibę i punkt oparcia. Wyjeżdża stąd pojutrze. Przybiera na tę myśl bajecznie żałośliwą minę — pewno dlatego, że zbraknie mu partnerki w szermierce o słowa i utopie. Zresztą nawet dla mnie jest bardzo szarmancki od czasu, kiedy dowiedział się, że jestem Twoją kuzynką. Podobno kolegowaliście obaj przez cały szereg lat. Dziwna rzecz: jest to przecie najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, a jednak od tej chwili mam do niego o wiele więcej zaufania«...

Mimowoli uderzyłem się w czoło, wybuchając głośnym śmiechem. Śmiałem się długo i serdecznie z samego siebie, z własnych dziecinnych obaw i niepokoju.

Toż to Leonek Żegota! On — naprawdę on.

Nie lubiłem nigdy tego chłopca; był uprzykrzony, niezdolny, naładowany frazesami, mógł zirytować, doprowadzić do pasy, ale miał jedną

zaletę: obaw nie budził. Był w całym znaczeniu — bezpieczny. Kobiety z nim i z niego mogły się śmiać do rozpuku, ale zakochać się w nim było niepodobieństwem.

Przypominam go sobie teraz doskonale. Zawsze niedomyty, nigdy niedoczesany, w wiecznej kolizji z guzikami od garnituru i ze zdrowym rozsądkiem. Z pochłoniętych bezładnie, niedoczytanych i, naturalnie, niezrozumianych książek miał w głowie istny bigos bombastycznych zdań, które mu imponowały niezmiernie. Żonglował też nimi na wsze strony, miażdżąc co chwila upolowanych słuchaczy Darwinem, Spencerem, Spinozą, Nietsche'm, nie zdając sobie zresztą sprawy, kim ludzie ci byli naprawdę i jak dalece idee, które im przypisywał, odbiegły w jego lepetynie od swych prototypów, lub zgoła w bujnej choć matolkowatej wylęgły się fantazyi.

Niby natrętna mucha, Leonek był jednocześnie postrachem i pośmiewiskiem kolegów. Tem więcej, że czuł nagłą potrzebę ustawicznego wyladowywania się i olśniewania. Pamiętam, że z zasad był wtedy nieprzejednanym nihilistą; dla wrogów nosił ostry scyzoryk, a dla siebie cyankali i dużą bardzo czuprynę.

Śmiech odruchowo rozchylił jeszcze me usta, gdy we drzwiach ukazał się stary Jan, wnoszący z namaszczeniem zastawę.

Z miną sakramentalną ustawił dwa nakrycia.

— Kogoż to Jan dziś gości? — zagadnąłem zdziwiony.

Pocziwiec skłonił się nisko i poważnie.

— Ano, w taki dzień, to tak myślę, że godzi się i dla jaśnie pani jedno nakrycie postawić.

— Dla jakiej pani?

— Bo to, proszę panicza... Panicz się nie rozgniewa, ale w Jasieńcu była zawsze jaśnie pani. To i tak myślę, że przecie te czasy jeszcze wróca. Bo i jakżeby... A dziś wigilia — nieprzystojnie wieszerać samemu. Więc choć na niby... Może przedź nam tu ktoś zasiądzie.

Głos zadrzał mu wzruszeniem. Pochylił siwą głowę i chciał mię całować po rękach.

Zmieszałem się. Czulem naprzemian wstyd jakiś i rozrzewnienie.

Dobry stary Jan... Położyłem mu dłonie na ramionach i spojrzałem w zalawione oczy.

— A więc, skoro chcesz, stary, to... to podzielmy się obaj oplatkiem z tą naszą jasną panią...

Uplynęły długie miesiące. Była w nich tęsknota, był czasem smutek, ale nie było cierpienia. Nie zachowałem o nich wspomnień mrocznych;

owszem — żyłem przez ów czas życiem pełnym, a w sercu rozkwitały uczucia pragnień i umiłowania. Dni i tygodnie rozmierzałem na epoki poważne a serdeczne, a historycę ich otwierał zawsze nowy list Stefy.

Treść ich pełna, jak zwykle, wrażeń, a w nastroju zaszły duże zmiany. Nie są to już listy istotny przygnębionej, choć przywiązanej do życia. Przemawia z nich dziś kobieta młoda, pełna sił i rwąca się do czynu. Przemawia serce czyste i spokojne — i dziewczęca swawolna wesołość. Towarzystwo panny Serdinescu zdziało wiele i w kierunku bardzo dodatnim.

Wesoła Rumunka rozproszyła wszelkie jej zamięszania, ożywiła humor, pobudziła do ruchu, wycieczek i sportów, które, zdaniem Stefy, zmieniły ją do niepoznania. Czuje się silną i zdrową, jak nigdy, — tembardziej, że od końca grudnia aż do połowy marca mieszkały obie na szczerej wsi podgórskiej na południe od Ajaccio.

Dla panny Serdinescu mam nietylko niesłychanie dużo wdzięczności, ale i nieklamany podziw, że umiała swoją istotnie cygańską ruchliwość do tego stopnia poskromić i to wyłącznie dla Stefy. Podobno ambicyą jej stało się nie opuścić jej wcześniej, aż będzie promieniała zdrowiem, młodością i werwą.

Odgaduję zgóry, że jej się to w zupełności powiodło.

Wystarczają sobie same doskonałe. Od czasu do czasu tylko odwiedza je Leonek Żegota, który coś nazbyt przewlekłe szpera po korsykańskich jaskiniach, o ile je wogóle odnalazł. Z listów Stefy wnoszę, że zainteresował się głębiej panną Serdinescu, którą bezwątpienia bawi fakt, że ma takiego wielbięciela.

Zdaje się, obie kobiety dość prędko nauczyły się traktować go pobłażliwie i bez szczególniejszych ceremonii. Kiedyś nawet na wycieczce górskiej wygrzmociły go sumiennie śniegiem, co Leonek przyjął z całym poddaniem się swemu losowi.

— »Najpociesznieszy jest w tem, że nie umie się obronić i formalnie ślupieje, widząc szykowne damy z high life'u w tak lobuzerskich humorach«, — opisywała mi Stefa.

Obecnie wybiera się podobno do Paryża, przypuszczalnie w celach omłotu swego naukowego żniwa.

Stefa powraca. Za tydzień ma już być w Wiedniu, gdzie rozstaje się z panną Serdinescu, która jedzie na krótko do ojczyzny. Zdaje się, tylko za interesami, gdyż, jak sama utrzymuje, nic jej z krajem tym duchowo nie wiąże.

Czasem opanowyywa mię istny szal radości. Trudno mi wierzyć, że chwila ta jest tak bliską, że już za kilkanaście dni spotkamy się w Krakowie.

Powtarzam sobie pewnik ów ustawicznie i prawie głośno:

— Zobaczę Stefę! Ujrzę ją wolną, nieznekaną, radosną... i moją!...

Przyjechałem do Wiednia. Stefa ma tu być jutro.

Zachowuję się, poprostu, jak student. Cieszę się z niespodzianki, jaką jej swem przybyciem zgotowałem, skupuję kwiaty, obmyślam plany rozrywek i ciągle spoglądam na zegarek.

Jeszcze dwadzieścia godzin... Jeszcze szesnaście, a w tem ośm nocy, których się przecież nie liczy. Oczywiście.

Na dworcu, niby przezorna ciotka, stoję o półtorej godziny przed pociągiem. Jestem ubrany, jak notoryczny filister: odprasowany, modny, w nieposzlakowanym cylindrze i z olbrzymią wiązką fijołków od Splihala. I nie zastanawiam się nawet, że może w roli tej jestem śmieszny. Myślę, ale nie rozumię. Operuję wyłącznie obrazami przyszłości, wizją chwili, która nadejdzie za moment.

Wreszcie przed peron wtacza się zadymiony sleeping, w oknach migają dziesiątki niewyraźnych twarzy i rozpoczyna się zgiełk pośpiechu.

Wyteżonym wzrokiem upatruję nerwowo, czuję jakiś niepokój — gdy nagle tuż nad mą głową rozlega się okrzyk dziecinnej, nieopisanej radości:

— Zdzisek, na miłość boską, Zdzisek tu jest!

I dwie białe jej ręce trzepoczą się w powietrzu, jak ptaki u roześmianej twarzyczki.

— Zdzisek! Zdzisek! — wołała głośno, tłocząc się ku wyjściu. Z stopni wagonu znoszę ją wprost na rękach. Czuję bicie jej serca. Dreszcz jakiś rozkoszny przejmuję mię szczęściem bez granic.

Stefa — to ona! Nie wierzę własnym oczom. Wygląda, jak kwiat polny — młoda, rozkwitła, zaróżowiona, przynajdroższa!

— Zdzichu, no widzisz, Zdzichu! Jesteś tu. I dla mnieś to uczynił! — szeptała ze wzruszeniem, gdy całowałem jej ręce. — Jak ja się cieszę, nie masz pojęcia. Poznacie się z Lucziją. Zaraz, toż ja zupełnie o niej zapomniałam.

Smukła, wytworna cudzoziemka wysiadła już jednak z wagonu. Po dokładnych opisach Stefy poznałem ją odrazu.

Za nią wyskoczył młody, nieznan mi, czarno ubrany jegomość o ruchach niezbyt zgrabnych i nerwowych. W trakcie wymiany ukłonów z panną Serdinescu poskoczył żywo ku mnie i w sposób wielce konfidencyjny rozwarł szeroko ramiona.

— Zdzisek, kopę lat! — wrzasnął mi ponad uchem.

Domysliłem się, że mam przed sobą Żegotę. Snadź projekty paryskie niezbyt leżały mu na sercu, skoro aż dotąd był nieodłącznym ich satelitą.

— Pniewski jestem, — zaznaczyłem chłodno, podając dłoń.

Na Leonka podziało to uśmierzająco. Skłonił mi się z rezerwą i trzymał odtąd na pewną odległość. Widziałem, że był stropiony. Zresztą znikł mi niebawem z oczu, gdyż panna Serdinescu ruchem dość energicznym wręczyła mu kwit bagażowy, co należało widocznie do jego funkcji stałych.

Przyjaciółka Stefy należała do kobiet, które, wprost siłą faktu, zwracały na siebie ogólną uwagę. Wyznaję, że uczyniła na mnie wrażenie dość silne. Jest niesłychanie piękna i niepospolita. Uroda ta zdolna jest oszołomić każdego, przeciętnego przechodnia. Ruchy jej kocie, podniecające, łączą w sobie wdzięk, siłę i szyk najwykwintniejszej Paryżanki.

Jeśli zalety umysłu, o których rozpisywała się Stefa, nie są jej subiektywnym wrażeniem, można ją śmiało uważać za zjawisko fenomenalne.

W drodze do śródmieścia rozmowa naszej trójki jakoś się nie kleiła. Szczebotała tylko Stefa, gubiąc się w tysiącu szczegółów i zapytań. Zajęci sobą oboje, zapominaliśmy mimowolnie o naszej towarzyszcze, która dyskretnie starała się nam nie przeszkadzać, tembardziej, że mówiliśmy z sobą

po polsku. Zauważyłem jednak, że oczy jej z dyplomatycznymi pauzami tkwią w twarzy mej badawczo i uparcie.

Wzrok ten zastanawiał mię. Było w nim raczej zdumienie, niż zainteresowanie; chwilami zaś przybierał wyraz niepokoju i prawie niechęci.

Po przybyciu na miejsce rozstaliśmy się, by za godzinę zjeść wspólnie kolację.

Wieczorem zachowanie Rumunki poczęło mię na seryo intrygować. Nawet Stefa zwróciła uwagę, że przyjaciółka jej jest jakoś dziwnie dzisiaj usposobiona. W rozmowie z nami w sposób widoczny walczyła z roztargnieniem, a na wycieczki słowne Żegoty nie odpowiadała zupełnie. Wzrok jej błędził ustawicznie jakby bez celu, a jednak ciągle zdawał się kontrolować moje ruchy, sposób mówienia, wyraz twarzy i całą postać.

Poczęło mię to wreszcie drażnić i kępować.

— O ile mi się zdaje, kogoś pani przypominam? — zagadnąłem ją zniemacka.

Pytanie to musiało ją zaskoczyć niemile, bo drgnęła i ożywiła się.

— Istotnie, — nie przeczę. Przypomina pan i to w sposób ludzacy. Dlatego też nie umiem chwilami opanować swej odruchowej obserwacji, która pana zapewne denerwuje. Proszę mi jednak wierzyć, że to był tylko odruch.

— A czy wolno wiedzieć, kto jest tym moim sobowtorem? — uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

— Ktoś, kogo niegdyś znalazłam bardzo dobrze, a później starałam się zapomnieć.

— I z rezultatem?

— Zupełnym. Było to zresztą dość dawno i dość daleko. Reminiscencye dzisiejsze są tylko powierzchowne — odpowiedziała chłodno i, zmieniając temat rozmowy, poczęła z werwą opowiadać jakieś humorystyczne epizody z podróży.

Do końca wieczoru panowała nad nami nastrojem wesołości i dowcipu, rozlaczając blask swej zdumiewającej urody. Stolik nasz, dzięki niej, zwracał na sali restauracyjnej powszechną uwagę, połączoną ze szmerem zachwytu. Stefa ze swym opalonym zdrowym buziakiem wyglądała przy egzotycznej swej towarzysze, jak nikła polna różyczka obok przepysznego kwiatu Południa.

Mimo całej szczeroci pozorów, widziałem, że humor Rumunki jest sztuczny i maskuje tylko niepokój, jaki przed chwilą jeszcze błakał się w jej spojrzeniu.

Na dobranoc uściśniła dłoń moją życzliwie i powiedziała z uśmiechem:

— Mam nadzieję, że jutro będziemy się czuli swobodniej i zapomnimy o pierwszej niezręcznej pogawędce. Przeszłość — to najniefortunniejszy wynalazek. Pod tym względem zgodzimy się oboje, — wszak prawda?

I oczy jej przybrały w tym momenice znów zagadkowy, badawczy swój wyraz. Spojrzała we

mnie głęboko, jakby do dna duszy i poczęła się śmiać cicho, niesympatycznie.

A Stefa, rozpromieniona wciąż jeszcze radością spotkania, ujawszy nas oboje za ręce, szczebiotała z zachwytem:

— No, jak to dobrze. Teraz już jestem pewna, że niezadługo będziecie najlepszymi przyjaciółmi.

Jesteśmy w Wiedniu już od kilku dni. Stefie, przypuszczam, trudno jest rozstawać się z Lucją i radaby pobyt nasz tutaj przedłużyć. Coprawda, nigdzie nam się tak dalece nie śpieszy i dobrze nam tu zupełnie. We czwórkę z nieodłącznym Żegotą spędzamy prawie całe dnie w galeriach, na wystawach i w muzeach.

Z panną Serdinescu rozmawiam dość dużo i przekonuję się, że jej horyzont myślowy daleki jest od ciasnoty, jaką grzeszą pojęcia kobiet wielkiego świata. Umie być przytem miła i interesująca, choć, mimo wszystko, odnoszę wrażenie, że w rozmowie stara się stosować metody egzaminacyjne. Tematy dobiera sama i konsekwentnie docieka, jakie są moje poglądy na świat i życie. Jest przytem zadziwiająco wprost prawdomówna i logiczna.

W jednym tylko wypadku schwytałem ją na nieszczerości, której motywów nie rozumiem.

Właściwym inicjatorem zwiedzania galeryi cesarskich, Lichtensteinów, belwederskiej etc. był nie kto inny, jak właśnie ona. Do oględzin tych rozentuzymowała się gorąco i przeprowadzała je drobiazgowo, twierdząc, że zbiorów Wiednia nie zna absolutnie. Tymczasem w trakcie wędrówki niebacznie objęła rolę wykwalifikowanego cicerone, który zna każdy szczegół. Podejrzewam w tem jakiś plan, obliczony na opóźnienie naszego odjazdu, tembardziej, że innym razem podsłuchałem niechcący, jak nalegała na Stefę, aby jeszcze choć kilka dni pozostała tu dłużej.

Wyznaję, że spostrzeżenia te poczynaly już budzić we mnie pewną nieokreśloną podejrzliwość i, gdyby nie interwencya rozsądku, gotówbym dojść do najbezsensowniejszych wniosków.

Tem niemniej któregoś dnia zapytałem ją, od jak dawna datuje się jej przyjaźń ze Stefą. Pytanie to przyjęła, jak naturalny temat konwersacyjny, odpowiadając ze swobodą, która rozwiała wszystkie moje obawy, choć nie rozwiązuje mi to jeszcze zagadki, jaką instynktowo przeczuwam.

— Właściwie Stefa nie była nigdy moją koleżanką, — odrzekła. — Jestem o całe pięć lat od niej młodsza. Zżyłyśmy się jednak w pensjonacie. Stefa rozpieszczała mię, nazywając swoją młodszą siostrzyczką. Kocham ją za to bardzo. By-

lam wtedy małeńka i trochę dzika. Ona mię oswoiła.

— Nie pojmuje jednak, jak pobyt w Styryi, w katolickim klasztorze wychowawczym, dał się pogodzić z pani wyznaniem.

Roześmiała się głośno.

— Widzi pan, my żyjemy w świecie, gdzie wszystko da się zrobić. Zakonnice przyjęły mię na wychowanie z łatwością, bo, jako urodzone misyonarki, liczyły na wykorzenienie mojej schyzmy, mój papa zaś był zawsze dość tolerancyjny i nie miał nic przeciw temu, jeśli mię w Saint-Crétien poddadzą praktykom katolicyzmu. Tembardziej, że chodziło tu o coś zupełnie innego. Nawet nie o to, by pensya była francuska, bo takich nie brak nam przecież i w Rumunii.

— Zaciekawia mię pani?

— O maniery, panie kochany. O maniery, — śmiała się panna Serdinescu. — Bo widzi pan, ażeby nas zrozumieć, trzeba znać nasz świat, naszych bojarów. Z epoką demokracji pogodzą się oni nieprędko. Są to *par excellence* arystokraci. Nie ci — najczystszej wody, ale najtwardszych przesądów i niezdarneogo naśladownictwa. Tem twardszych, im mniej mają kultury. Gdy wysyłano mię do Frohsdorfu, ojca frapowało nie to, że klasztor jest francuski, lecz że kuratorują mu Bourbonowie, a wychowankami są panny z arystokracji.

— I to był jedyny cel?

— Najwyłączniejszy. Polor wielkiego świata jest u nas manią chorobliwą. Nasz bojar, aczkolwiek sam należy nieraz do jednego z najstarszych rodów, zachowuje się pod tym względem, jak najpospolitszy parweniusz. Za szych, za famę — oddałby pół życia. Ma nareszcie swój dwór, który mu imponuje i radby w Sinaja stworzyć środowisko Wersalu, a za najdroższą obelgę uważa, jeśli ktoś jego kraj nazwie Wschodem. Dlatego też, kiedy dojrzeje kukurydza, a zbiór pszenicy dopisze, jeździ tak chętnie do Paryża i asymiluje sobie francuszczyznę.

— I ojciec pani czuje się dziś z niej zadowolony?

— Nie wiem — papa nie żyje. Przypuszczam, że nie miałby się z czego cieszyć. Manier, jak pan widzi, nie nabyłam, a za to mniej kocham Rumunię.

— Rumunię? Z jakich względów?

— Z tych samych, dzięki którym przy mojem usposobieniu Stefa znieawidziłaby Polskę, Paryżanka swą Francję i t. d. Dlatego, że nie umiem się zgodzić z pruderyą, która w rodzimych środowiskach rządzi nami wszechwładnie. Z pruderyą, która uczy nas kłamać, która, wzbraniając tysiąca rzeczy niewinnych, pozwala na przemycanie najwyuzdańszego zepsucia, byle tylko osłonić je zgrabnym płaszczykiem fałszu. My, ko-

biety ze sfery, znamy ją dobrze. Rzuca ona w nas kamieniem, jeśli poważymy się wracać do domu same o dziesiątej, kiedy już dawno po nieszpórach, aprobując zarazem nocną wycieczkę o piątej, chociażby nawet do spelunki, w której czeka pijana kompania... bo wtedy już dzwonią na ju-trznię.

Zaśmiała się głośno, nieszczerze i zamilkła.

Mam dziwne wrażenie, że ta kobieta zdolna jest nienawidzić i że nienawidzi napewno. Kogo — nie wiem. Nienawiść ta może nawet nie dotyczy tych zjawisk, o których mówi z sarkazmem. Tkwi napewno głęboko i tylko w chwilach wyjątkowych podnieceń dobywa się na zewnątrz, przylegając przypadkiem do tych, lub owych obiektów.

Zdaje się, że, sama będąc (może tylko z pozoru) lekkomyślną, nie znosi ludzi życiowego hazardu.

— Kiedyś, umierając, — żartowała. — uczynię zapis, aby ludziom tej kategorii wręczano abonament na szereg sztuk ibsenowskich. Ta nowożytna chłosta przyda im się napewno, zwłaszcza w chwilach, gdy zamierzają los bliźnich od swej własnej lekkomyślności uzależnić.

Przewlekający się pobyt nasz w Wiedniu, wyznam szczerze, poczyna mi nie dogadzać. Spotkanie Stefy wystawilem sobie uprzednio w barwach zgoła odmiennych. Tymczasem stało się inaczej. Nieodłączna asysta Żegoty i panny Serdinescu drażni mię coraz silniej. Dotąd ani przez chwilę nie byliśmy jeszcze sam na sam.

Ilekróć oboje usiłujemy tak pokierować planem dnia, by pozostać bez świadków, wtedy jakby z umysłu Żegota płacze się między nami natrętnie, a piękna cudzoziemka odbywa z Stefą najzawilsze konferencye toaletowe.

Obudziło to do tego stopnia moją podejrzliwość, że nie wierzę nawet, by Leonek czynił to przez samą głupotę lub wrodzone natręctwo. Jestem pewien, że kieruje nim Luczija, z którą jest na stopie dość poufalej.

Co wpływa na to zagadkowe jej postępowanie — nie rozumiem. Widzę tylko, że, wbrew przewidywaniom Stefy, od kobiety tej coś mię formalnie odpycha, choć nic doprawdy nie mogę jej zarzucić. Owszem, w innych warunkach byłbym bezwątpienia gorącym wielbicielem jej bystrego umysłu, subtelności i oryginalnych poglądów.

Mam wrażenie, że niebawem oboje będziemy musieli stoczyć z sobą walkę. Walkę o wpływ na Stefę. Nie znaczy to, bym podejrzewał, że panna Serdinescu stara się ją niekorzystnie względem mnie usposabiać. Tego zarzutu postawić jej nie

mogę. O wpływ ów jednak walczymy z sobą na uboczu, prawie że w cztery oczy, bez wiedzy osób trzecich.

Mimo towarzyskich uprzejmości, nie sympatyzujemy z sobą dość jawnie. Jest to poniekąd moją winą, bo zbrakło mi już angielskiej flegmy i nie umiem się tak artystycznie, jak przeciwniczka moja, maskować. Ta piękna panna w sposób oczywisty poczyna mi wchodzić w drogę. Przeciwwstawia mi się tam, gdzie wchodzi w grę Stefa i tego tolerować nie mogę.

Raz mimowoli zająłem względem niej w tonie i wyrazie twarzy pozycję tak stanowczą i graniczącą z wyzwaniem, że nawet Stefa uczuła się zaniepokojoną.

Spojrzała kolejno na mnie i na Lucziję wzrokiem, pełnym zdziwienia i zapytała:

— Co wam się stało obojgu?

— Nic, — uśmiechnęła się Rumunka. — Jak widzisz, sprzeczamy się z panem Pniewskim, choć nie dzieli nas różnice poglądów.

— W jaki sposób? Doprawdy, od jakiegoś czasu nie umiem was poprostu zrozumieć.

— A jednak to zupełnie proste. Przyszedł mi, Stefo, zły kaprys i drażnię się trochę z twoim kuzynem. Ale to tylko dlatego, że w chwilach podniecenia jeszcze silniej przypominam swego sobowtóra. Sprawia mi to emocje, przypuszczam

więc, że mi zechcecie tę chwilową słabostkę wybaczyć.

Tęsknoty mojej za Stefą nie ukoilem. Spędzany wspólnie czas wydaje mi się takim samym rozdziałem, jak dawniej. Widzę ją wprawdzie, słyszę jej głos, znajduję się w sferze oddziaływania jej uroku i słodyczy, ale z nią nie obcuje. I dlatego dziś radbym ją stąd jednej chwili porwać i unieść daleko w samotność i spokój.

Czuję, że miłość moja potężnieje i rozpiera mi serce. Kiedy spoglądam w jej łagodne, szafirowe oczęta, gdy widzę, jak faluje jej pierś i rozchylają się pełne różane usta, przejmuję mię dreszcz rozkoszy i upragnienia.

Stefa jest piękna. Jest przedziwnie piękna i kobieca.

Do niedawna miłość moja była czemś świętem, ale brak jej było czynnika nawskrós ziemskiego: pożądania. Była, jak posąg przedniego dłuta z utraconą głową.

Dziś pragnę. Skronie palają mi — ramiona wypreżają się do jej objąć.

Kocham! Kocham całą siłą ciała i duszy.

Wszystkie moce uspihone, wyrzucane przez tyle lat poza nawias mego życia — zbudziły się, stając przede mną teraz twarz w twarz w całej imponującej potędze żywiołu.

A ja schylam przed nimi dziś głowę kornie,

bo w upojeniu szalonych marzeń widzę Ja — Stefę — żonę moją.

Tymczasem fale uczuć tych rozbijają się wciąż o upartą zaporę złej i obcej mi kobiety.

W równym stopniu drażni mię i Żegota. Zdaje mi się, że Stefa, pisząc o sympaty Leonka do Lucziji, informowała mię błędnie. Uczyniła to albo świadomie dla mego osobistego spokoju, albo w naiwnej wierze, z jaką odnosi się do wszelkich pozorów. Ja jednak poczyniłem zupełnie inne spostrzeżenia. Żegota, którego dyskusye z panną Serdinescu utrzymane są w ramach ściśle akademickich, jest jednocześnie niewątpliwym wielbicielem Stefy. Ciągłe stara się składać jej dowody swego holdu, przyczem rola ta czyni go mdłym, jak najkliwsze dekokty.

Naturalnie, nie mogę być o niego zazdrosny, ale sama myśl, że ten matolek ośmiela się podnosić na nią oczy, a może nawet liczyć na wzajemność, doprowadza mię do wściekłości.

I o ile dla Lucziji zachowałem jeszcze w dużej mierze swą męską galanterię, o tyle w stosunku do Leonka nie umiem się oprzeć lekceważeniu. Już kilkakrotnie potraktowałem go dość cierpko, wskazując właściwe śród nas miejsce w chwilach, gdy zdawał się o niem zapominać. Parę razy uczyniłem to nawet bez konkretniejszej przyczyny i po impertynencku. Choć jednak wiem

dokładnie, że w tym lub innym wypadku postępowanie moje jest nieuzasadnione i niesłuszne, nie czuję się na siłach panować nad rozkolatanymi nerwami.

Nerwowość ta, której napozór pozbyłem się już zupełnie, niepokoi mię teraz na seryo, bo sądziłem, że tego rodzaju powrotne fale nie będą już zakłócać mojej wewnętrznej równowagi.

Dziś wieczorem miałem poważne zajście z Żegotą. Wstyd mi, że stało się to w obecności obu pań, bo zachowałem się, jak człowiek bez elementarnej kultury.

Mieliśmy spędzić wieczór u Hopfnera we trójkę. Leonka nie brano w rachubę, gdyż wybierał się od wczoraj w okolice Semmeringu, gdzie odkopano w tych dniach szkielet jakiegoś jaskiniowca. Plan ten, jak zwykle, porzucił w ostatniej chwili, by uszczęśliwić nas swem towarzystwem.

Już sam ten fakt wystarczył, aby mi popsuć humor. W myśli szukałem tylko sposobu, który dalby mi pole do jakiegokolwiek zjadliwej wycieczki.

Leonek, zawsze pełen projektów, zawsze obladowany notatkami i przeróżną makulaturą, roz-

łożył przed kolacją na stole cały plik papierów i, pograżywszy się w nich po uszy, począł bez ceremonii dobywać luźne, zabazgrane świstki i układać je kolejno na stronie.

— Jak widzę, kolega bardzo zajęty? — zauważyłem z przekąsem.

— A, tak. Składam właśnie rękopis mojej ostatniej korespondencji, którą dziś jeszcze muszę wysłać do Warszawy.

— I do jakież to organu, jeśli wolno wiedzieć?

— Do »Realisty«. Jestem tam stałym współpracownikiem.

— Czy podobna? A to szczególne. O ile się nie mylę, poglądy społeczne kolegi były dawniej krańcowo odmienne. W każdym razie nie takie, jakich rzecznikiem jest ów dziennik polskich konserwatystów.

— Istotnie. Dziś jednak nic mię z obozem tym nie dzieli.

— Od jak dawna?

— Od kilku lat już. Dokładnie nie pamiętam.

— Doprawdy, kolega mię zadziwia, zmuszając prawie do apoteozowania powagi czynników zewnętrznych, które zdolne są z taką łatwością przesuwać nas od nihilizmu aż do autokracji.

Leonek zastanowił się.

— Przepraszam — a co ty rozumiesz pod tą powagą czynników zewnętrznych, jak je nazwałeś?

Zmrużyłem oczy z ironią.

— Czynniki zewnętrzne są różnorodkiej natury, przeważnie jednak brzęczącej lub szeleszczącej, jak kto je woli określać, — wycedziłem ze złością.

Zegota cały pokraśniał i zmienił się na twarzy. Zrazu drgnął gwałtownie, lecz zmitygował się w porę i sposepniał. Wreszcie podniósł wzrok na mnie i począł mówić głosem spokojnym i równym, choć odzywało się w nim uczucie dojmującej przykrości.

— Panie Pniewski, — przed laty kolegowaliśmy z sobą i nie lubiliśmy się. Dziś spotykamy się znowu i również nie czujemy do siebie sympatii. Kiedy jednak poprzednio mogliśmy wyrażać swe uczucia, jak dzieci, dziś obowiązuje nas kultura ludzi dojrzałych. I pod tym względem sądziłem, że winni jesteśmy sobie szacunek. Mógł jeden z nas odnajdywać w innym nerwowość i neurastenię, lub naodwrot śmieszna może fantastyczność poglądów, ale nie mogło to decydować nigdy o obniżaniu czyjejkolwiek wartości moralnej. Przynajmniej ja owego szacunku dla charakteru pana i jego prawości nie zachwiałem w sobie ani na chwilę i miałem prawo wierzyć, że sam na podobny szacunek zasługuje. Przed chwilą wydało mi się, że usłyszałem z ust pańskich insynuaację bardzo bolesną, a zarazem tak gminną i natyle brutalną, że trudno mi uwierzyć, aby to mogło być prawdą. Dlatego daruje pan, ale wydaje

mi się, że słów jego nie zrozumiałem właściwie, że była to tylko niefortunna gra wyrazów bez szczególnego znaczenia.

Zapanowało glucho milczenie.

Człowiek ten, mimo swą śmieszność, zdołał mię upokorzyć. Ja zaś wiedziałem, że postępek mój był niesmaczny, nawet nieuczciwy, — a jednak przez chwilę miałem ochotę dusić go za gardło, choć na seryo nie umiałbym powiedzieć za co.

Byłem niesłychanie wzburzony.

Nie chcąc stracić władzy nad sobą, wstałem od kolacy w pół dania i wyszedłem. Po papierosie wróciłem do stołu, pożegnałem panie i, skłoniwszy się chłodno Żegocie, opuściłem towarzystwo.

Cale to głupie zajście rozdrażniło mię ponad zwykłą miarę. Do późna w noc włóczyłem się po ringach. Żal mi jedynie Stefy, która spojrziała na mnie na odchodnym z dziwnym jakimś lękiem i troską. Choć mogłaby i ona położyć wreszcie kres tej szczególnej konfidencyi owego pana Żegoty.

Dziś rano u wejścia do Bristolu spotkałem pannę Serdinescu. Była ubrana na miasto.

Na mój ukłon odpowiedziała badawczem spojrzeniem i zatrzymała się.

— Chciałam pana dziś spotkać, bo mam mu coś do powiedzenia.

— Służę pani.

Zwróciliśmy do hallu. Luczija usiadła w fotelu i przez stół pochyliła się ku mnie.

— Chciałam pomówić z panem à propos wczorajszego. Pan wie. A wie pan dlaczego? Bo znałam kiedyś człowieka, niezmiernie do pana podobnego. Fizycznie i duchowo. Znałam go dobrze. Jeśli pan woli, pozwałam panu przypuszczać, że go nawet kochała. Człowiek ten miał dużo kultury, ale chorą duszę. I skończył źle. Nietylko: on stał się złym. Mówię to panu, panie Pniewski, poważnie. Niech się pan strzeże. Mówię dlatego, że panu bardzo dobrze życzę. Panu i jeszcze komuś. To się mści. Może mi pan wierzyć, bo żyłam dużo i wiele rzeczy widziałam. Nietylko znacznie więcej, niż przypuszcza Stefa, ale nawet niż pan kiedykolwiek to podejrzewał.

Podąła mi rękę pośpiesznie. Strojna, wyprostowana, wykwintna i przepysznie piękna szła ku drzwiom. Postać jej odbijała się w lustrze wyraźnie, rasowa i wyzywająca. Nie wiem, czy to było złudzenie, jednak wydało mi się, że w lustrze tam ujrzałem na jej twarzy uśmiech tryumfujący jakiś i szyderski.

Niech się pan strzeże...

Słowa te dyktowała jej nienawiść. Nie wątpię

już w to ani na chwilę. Wierzę nawet, że miała w nich swój cel ukryty, choć uczyniła to tak przebiegle, że żaden zarzut obciążyć jej nie może. Bo, bądź co bądź, powiedziała tylko prawdę. Mówiła to, co powinienby powiedzieć mi każdy człowiek uczciwy. Przypomniała mi obowiązek, który nakazuje patrzeć w duszę surowo i zanurzać w niej ostrą sondę kontroli, która wykaże, co kryje się w istocie pod pozornym zabliznieniem dawnych ran. Czy żywe pulsujące krwią ciało, czy przyczajony łąd.

Przeszłość się mści. Nawet wtedy, gdy zrywa się z nią bezpowrotnie.

Czy jednak ja z przeszłością tą zerwałem?

Nie wiem. Na pytanie to brak mi odpowiedzi. Zerwałem z wszystkim, co mi tę przeszłość przypominało zewnątrz. Zmieniłem tryb życia i dziedzinę zainteresowań, stworzyłem sobie ognisko pracy, — ale czy jałem się na seryo przebudowy swej duszy? Nie. Ja tylko nałożyłem na jej stare podłoże nowe warstwy. Bałem się tknąć nagromadzonego przez lata śmiecia, jak bolączki. Czulem strach przed niem, a odwagi starczyło mi tylko na to, by je po wierzchu osypać kwiatami. Od mej przeszłości wewnętrznej odwróciłem się plecami i nie pamiętam o niej tylko dlatego, że dotąd jeszcze wstecz nie spoglądałem.

Co jednak stanie się, gdy życie mię do tego zmusi? Kto się okaże silniejszy?

Milczenie. Odpowiedzieć nie umiem, bo pytania te rodzą się we mnie dziś po raz pierwszy i widzę, że jestem przez nie zaskoczony. Cóż tedy stanie się wówczas, kiedy przed sobą będę mieć nie pytania, ale same już nieuniknione ewentualności?

Też nie wiem.

Czy mi więc wolno? Czy bez pewności tej mam prawo stawać na czyjejkolwiek drodze? Zwłaszcza na drodze Stefy? Stefy, która przemarnowała już całą młodość, powinna sobie wreszcie otworzyć podwoje życia do wolności i szczęścia. Złamać jej życie po raz wtóry, byłoby przecież zbrodnią.

O, tak... wielkie pytania zadała mi dziś panna Serdinescu. Zda się, że teraz jeszcze słyszę jej śmiech mściwy i okrutny.

Nie ciekawi mię nawet, za kogo mści się na mnie, nie chcę nic wiedzieć, bo czuję, że ogarnia mię jakiś szal dzikiej, nieludzkiej rozpacz...

Stefy nie zobaczę już nigdy. Nie żegnałem jej nawet. Skreśliłem tylko przed wyjazdem pare

słów, że wyjeżdżam nazawsze i że wyjaśnień udzieli jej Luczija.

Zatrzymałem się w Krakowie w swoim zwykłym hotelu. Dlaczego właśnie w Krakowie — nie wiem. Tak, jak nie wiem jeszcze, czy pojedę stąd końmi do Jasiénca, czy udam się do Warszawy, lub czy wogóle pojedę dokądkolwiek.

Po co? Bez Stefy — po co?

Chodzę, jak automat. Wykonuję szereg ruchów i nawet pewnych funkcji myślowych, jak w hypnozie. Wogóle nie uprzytomniam sobie jeszcze, co ja właściwie uczyniłem. Nie myślę o tem. Stało się to tak nagle, tak nieoczekiwanie, że widzę w tem coś nienaturalnego.

Jestem, jak człowiek, dopiero co wyprowadzony ze sfery oddziaływania czyjejs silnej, narzuconej mu woli i nie mogący własnej w bezładzie odszukać.

A jednak — stało się... I nie zobaczę jej już nigdy...

Wiem, że mówię rzecz straszną i że inaczej być nie może, a nie rozpaczam nawet. Nie objąłem jeszcze umysłem tej niesłychanej katastrofy, która stała się już, a jakby dotąd nie przyszła.

Nie wychodzę z domu od dwu dni. Leżę na łóżku wznak, patrzę na skrawek nieba, badam rozpierzchający się rysunek chmur, widzę dokoła

siebie wszystko dokładnie, a jednak wydaje mi się, że nie wiem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

Jedno jest pewne — że wciąż mi czegoś brak. Wstaję leniwo, zbieram myśli, upatruję czegoś po pokoju, chcę zagną iść w określonym kierunku, a zatrzymuję się w pół drogi, marszcząc czoło z wysiłkiem. Oglądam swą walizę, rozkładam sprzęty podróżne, przerzucam w nieładzie drobiazgi, choć nie szukam niczego.

Z nesesera, z przegródki — wyjmuję rewolwer, dobywam z futerału, oglądam. Siedząc przy stole, badam, czy jest nabity, ale doprawdy nie mam pojęcia, czy się chcę zabić, czy też ciekawi mnie tylko to małe, błyszczące cacko. Cacko ładne, małeńkie, z ciemnej oksydowanej stali, polerowane, utrzymane czysto i z dbałością.

Zajmuje mnie coraz silniej. Teraz napewno nikomubym go z rąk nie oddał...

Tej zabawki... Bardzo mądrej zabawki...

Podobno trwa to bardzo krótko. Jedno mgnienie. Strzału nawet nie słyszy ten, co... Bo wtedy jest już po wszystkim. Mówią, że najlepiej jest między zęby. Zakłada się — ot, tak... Tak twierdzą znawcy...

A ja jestem taki zmęczony...

Stało się to tak błyskawicznie, że nie umiem zdać sobie sprawy z kolejności wypadków tego



dnia. Tembardziej, że były to chwile jakiejś zagadkowej bezwoli i odruchów.

Szelestu otwieranych drzwi, ani kroków — nie słyszałem wcale. Byłem już napół nieprzytomny. Pamiętam tylko, że palce moje zaciskały się dookoła zimnej rękojeści kurczowo, że lada chwila... gdy nagle ktoś uchwycił mnie z tyłu za rękę i drobna, krzepka dłoń odrzuciła rewolwer w kąt pokoju. Jednocześnie głowę objęły mi czyjeś ramiona i usłyszałem cichy, nabrzmiały skargą głos:

— Dzieciaku! — i cóżes ty chciał uczynić? A pomyślałeś, czy jabym bez ciebie żyć mogła?

— Stefa! — rozdarł mi piersi okrzyk, w którym ozwała się cała moja nieszczęsna, umęczona dusza.

Upadłem do jej stóp, a ona utuliła mą głowę na kolanach i, jak dobra piastunka, objęła skronie z kojącą pieśczętą.

Usta moje szeptały cicho, wśród łkań:

— Stefo!... Ty moja... młodości...

Ślub nasz odbył się w kaplicy na Kahlenbergu. Życzyla sobie tego Stefa. Mówi, że Wiedeń — to miejsce najpiękniejszych wspomnień naszej miłości.

Nie oponowałem jej. Było mi to zupełnie obojętne.

W Krakowie zabawiliśmy pewien czas, niezbędny dla zebrania dokumentów i załatwienia wielu innych formalności, stojących na drodze do naszego połączenia. Mówiliśmy o naszym szczęściu, Stefa rozwijała plany przyszłości, pięknej, jak wiosna i pogodnej, jak samo słońce.

Spoglądałam na nią ciągle z niemym jakimś podziwem i wdzięcznością. Tyle w niej wiary i siły, gdy tymczasem ja nawet w najświętszych swych uniesieniach czuję dziwny bezwład i chłód.

Zdaje mi się, że idę w przyszłość machinalnie, że miłość moja żyje dziś życiem niewłasnym, jak coś, co, raz wtrącone w pewien ruch, trwa siłą rozpędu.

Mówię i działam. Nie brak mi nawet entuzjazmu, ale entuzjazm ten odbija się w mem sercu, jak obcy, wyuczony dźwięk.

Zdążam do mety. Stanać u niej pragnąłem przecie tak gorąco... Pragnę i dziś, ale oczy odruchowo przymykają mi się w bojaźni, by u mety tej nie zobaczyć upiora.

Był ktoś, co do ostatka nie pozwalał mi o tem zapomnieć. Jeszcze na tydzień przed ślubem otrzymałem krótki, zagadkowy telegram.

— Czy pan jest siebie pewny? — pytała w nim Luczija.

Pytanie to spadło na mnie, jak policzek.

Wymierzony był trafnie. Aż nadto trafnie, bo od chwili tej nie znam spokoju — uciekam przed samym sobą.

A jednak sięgam ręką po szczęście, bo... już nie umiem go odtrącić.

Cichy był ślub nasz, ale był piękny. I w duszy mojej nastąpiła błogosławiona jakaś cisza, a słowa przysięgi płynęły z warg spokojnie, jakby dziękczynna modlitwa.

Dwoje nas było tylko i ksiądz staruszek, który nam stulą przewiązywał ręce. W Wiedniu do wiedziałem się z ulgą, że panna Serdinescu wyjechała do ojczyzny, a Żegota od dwu tygodni bawił już w Paryżu. Wiadomość ta rozjaśniła mi nieco w duszy i zdało mi się, że jakaś zmora, tłocząca piersi, poczyna zwalniać siłę swego uścisku. Wstępowała w nie powoli otucha.

Powstając od ołtarza, czulem się znów młody

i odrodzony. Pierwszy raz po wielu tygodniach spojrzalem na świat śmiało i radośnie...

W drodze do naszego pojazdu uczulem na sobie czyjś wzrok. Machinalnie wstrzymałem Stefę, budząc się z zamyślenia. Uniosłem głowę...

Poznałem ją. Odgadłem odrazu, jakby instynktem ofiary, przeczuwającej zbliżanie się pogromcy. Z bogatym bukietem róż, piękniejsza, niż kiedykolwiek, stała przed nami, milcząc, z uśmiechem uszczęśliwienia na ustach.

— Luczija! — zawołała radośnie Stefa, chwytając ją w objęcia.

— Tak, to ja! — śmiała się panna Serdinescu. — Widzisz — nie odjechałam. Chciałam wam pierwsza złożyć życzenia. To mi się przecież należy. Życzę wam całym sercem obojgu szczęścia... trwałego szczęścia, — podkreśliła z naciskiem.

Usiedliśmy razem do powozu, zapraszając ją na obiad.

W hotelu spotkała nas niespodzianka. Gniazdoko nasze zalewała istna powódź kwiatów. Domysliłem się gestu Lucziji. Jest naszym duchem opiekuńczym aż do końca.

Tak, do końca. Dzisiaj wiem, że zostanie nim aż po kres naszego fatum.

Na schodach, kiedy Stefa wyprzedziła nas

o kilka kroków, pochyliła się ku mnie i powiedziała krótko:

— Wiem, że jest pan człowiekiem inteligentnym i wierzę, że czyn pański świadomy jest i odpowiedzialny. Wierzę i ufam panu.

Głos jej brzmiał szczerze i poważnie. Uniósłszy wzrok, zauważyłem, że w spojrzeniu jej nie było nienawiści. W oczach tych świeciły teraz dwie przesmutne jakieś łzy.

Płyną miesiące mojego szczęścia.

Shczęścia... tak je nazywam... tak je zwać powinienem. Dało mi ono przecież wszystko. Dało tak wiele, że już niczego nie pragnę. Ciszę, harmonię, własne ognisko, własny dom, ukochaną istotę, nawet nadzieję ojcostwa...

Otocza mię pogoda i dobroć. Jest taki spokój, że aż mię przed nim bojaźń jakaś przejmuje.

Chciałbym tak trwać już wiecznie. Trwać w bezruchu — a nadewszystko nie patrzeć w duszę... litości, w tę otchłań nie spoglądać!...

Czy podołam?

Zwątpienie, zasiane ręką tej kobiety, stało się moim nieodłącznym i wiernym towarzyszem.

Może dziś tryumfować. Zgasła moje serce. Stłumiła wszelkie, tlejące w niem iskry, które wydawały mi się już jasnym, trwałym płomieniem. Suggestyą narzuciła świadomość prawdy, o której przecież mogłem zapomnieć. Odebrała wiarę w złudzenie, które już miało się stać rzeczywistością.

Jasieniec poweselał, ożywił się. Do domu wstąpiło życie i ruch. Stary Jan cieszy się. Ma narreszcie swoją panią. Mnie tylko dom ten wydaje się jakiś odmienny i bardziej obcy, niż przed półrokiem. Dawniej każdy sprzęt, każdy zakątek parku przemawiał do mnie swoim językiem, a ja zwierzałem im się z swoich radosnych tęsknot, pragnień i oczekiwania. I wśród tych zjaw upragnionych nie czułem się samotny. Było mi wtedy tak dobrze... może naprawdę, przeżyłem wówczas okres swego szczęścia.

— W pragnieniu jego tajemnica, — mówiła kiedyś Stefa.

Ona pragnienia te znała. Ziściła jedne — dziś marzy o innych. We mnie wygasły wszystkie.

To, co było krynicą mojej młodości, oddechem piersi, krwią, żył — runęło, jak lichy domek z kart. Dziś zwątpilem we wszystko. Nawet w swą miłość dla Stefy.

Uczucie to wiązało się tak organicznie z procesem odżywiania młodych sił mego ducha, że

o własnej mocy ostać mu się trudno. A duch mój postarzał się, przygarbił i dźwiga znów na barkach swój stary ciężar.

Tak mi czasami tęskno do tych niedawnych chwil. Tyle w nich było wiary, tyle mocy, piękna, poezyi. Spoglądam w te majaki, jak w raj utracony.

Jakże się szybko rozwiały...

Zal mi jest Stefy. Ona niczego dotąd nie zauważyła, niczego nie przeczuwa. A przecież kiedyś spostrzeże.

Wierzy, że dała mi szczęście, że stworzyła dla duszy mej bezpieczną przystań, w której mi będzie zawsze zacisznie i błogo. Krząta się, pracuje, jak mrówka, śmieje, jak srebrny dzwonek i otacza mię bezmierną miłością. Jest niewątpliwie szczęśliwa. I dlatego nie chciałbym jej tego szczęścia burzyć. W chwilach, kiedy przybiega do mnie pełna uroku i swawoli, kiedy zarzuca mi na szyję swoje białe rączeta, — zbieram cały wysiłek woli, by nie odgadła, co się dzieje we mnie. I gram, jak aktor. Gram szczerą humoru, płomienną uczuć i błyskotliwą paplaninę zakochanych.

Rozmawiamy wtedy, jak dzieci — o głupstwach, drobiazgach, czubatych kurkach, kwiatuskach w ogrodzie — o wszystkim, co się składa na mozaikę powszedniej pogody naszego dziś. Zdobywam się na to z trudem i tylko z litości dla niej, chociaż im dalej to trwa, im częściej się powtarza, tem silniej rozprzega się we mnie wszystko, siłą trzymane na wodzy.

Wraca dawna gra nerwów, naprzemian apatyi ustępująca, — dawny krytycyzm, wywracająca wszystko na nice. Wtedy Stefa mię nuży. Staram się unikać jej towarzystwa, bo wydaje mi się inną jakąś kobietą. Nie umiem w niej dziś odnaleźć tego subtelnego rysunku myśli, tego wykwintu uczuć, który mię podbił. Na jaw występują natomiast cechy płytkości i gąskowata naiwność.

Dawniej zdawało mi się, że małżeństwo nasze będzie, może nie czemś wyśnionem, ale w każdym razie rzadkim związkiem dwojga ludzi, którzy będą sobie mieli wiele do powiedzenia. Żyjemy zaś, jak para filistrów.

Jej miłość wydaje mi się pospolitą, słodycz rozdrażnia. To, co pociągało niezwykłością — spłowiło, zbladło. Stało się ekliwą miksturą. I wówczas gotów ją jestem oskarżać, obrzucać wyrzutami i najbardziej gminną insynuacją. Naturalnie przed samym sobą, bo sama myśl zdradzenia się przed Stefą przywołuje mię do przytomności.

Przecież ta kobieta powierzyła mi cały swój los, a jeśli nie jest mi tem, czem być mogła, to tylko z mojej winy.

Boję się samego siebie coraz silniej. To życie mi ciąży. Cięży tak strasznie, że tracę już siłę woli. Poprostu duszę się w tej atmosferze. Dokoła mnie sielanka — prosta, naiwna sielanka — a w duszy rozgrywa się tragedia walki i zmagania.

Dzisiaj stało się coś, czego nie przeczuwałem. Sądziłem, że więcej mam hartu i zdrowia.

Siedzieliśmy oboje w parku. Był cudny zachód słońca, które załamywało tysiące jaskrawych promieni wśród gęstwy różnobarwnych róż, otaczających białe marmurowe posążki, zdobiące cichą aleję. Stefa oparła głowę na mem ramieniu, przytulila się miłośnie i szczebiotała cicho, spieszczając po dziecinnemu każdy wyraz. Zdziecinnianie to stało się od pewnego czasu jej manierą. (Nie wie, że drażni mię ten genre pensyonarki. Przecież u licha ma już trzydziesty piąty rok).

Widząc, że nie odpowiadam na jej pytania, spojrzała na mnie figlarnie i potrząsnęła za rękę.

— Pan mąż? zamysłony? A o czem pan mąż myśli.

którym sądził, że umiem czytać wszelkie tajniki duszy własnej.

Odgadła je kobieta obca. Nie znając mię, odgadła intuicyjną. I dlatego nienawidzę jej. Nienawidzę za to, że upokorzyła moją dumę, że pokonała mój umysł zwykłą bystrością obserwatora.

Spotkał mię los zasłużony. Długie lata błąkałem się wśród rzeczy i ludzi, jak zbędny sprzęt, — żyłem, jak bezkarny pasorzył, aż zabrnąłem w matnię bez wyjścia. Zmarnowałem swą przeszłość dawną, porzuciłem wczorajsza, a terażniejszość nie wróży mi żadnego jutra.

Czas mi do kresu. Czas. Choćby to było nawet wbrew mojej woli, czuję, że się doń zbliżam wielkimi krokami.

Trzeba mi uciec stąd. Coprędzej.

Pojadę do Warszawy. Tam był początek... Tam...

Rzucam Jasieniec bez żalu. Duszę się tutaj. Męcę siebie i ją.

Jakiś plan niewyraźny przenika cały mój umysł, wibruje, niepokoi. Wybieram się w tę drogę gorączkowo, układam rzeczy z pośpiechem, jakby czekało mię coś niezmiernie ważnego.

Nie zdawała sobie sprawy, że to rozstanie. Był w niej tylko niepokój jakiś bolesny i podniecenie nerwów. Nie rzekliśmy sobie na pożegnanie ni słowa. Do powozu wyniosła mi jeszcze sama mój podręczny nesesor i przekonałem się, że pamiętała o najmniejszym potrzebnym mi drobiazgu, nawet o ulubionej przekąsce na drogę. Dłoń podala mi z lękiem, jakby w obawie jakiejś nowej nerwowej reakcyi i stanęła na ganku milcząca, szukając mego wejrzenia.

Usiadłszy w powozie, złożyłem jej chłodny, zdawkowy ukłon. Napotkałem wtedy jej oczy. Była w nich taka otchłań smutku, że mimowoli stanąłem nieruchomy i długo trwałem tak u tych źrenic nieszczęsnych, na których tak niedawno kładłem pocałunki rozkoszy i szczęścia.

I już ich nie zapomnę. Przez tę krótką chwilę umiały zamknąć w sobie cały świat miłości, wyrzutu i przebaczenia.

Gmach runął w gruzy. Na zawsze.

W Warszawie jakby się nic nie zmieniło. Pozornie wydaje mi się, że wyjechałem stąd niedawno i że cały ubiegły rok życia był tylko nieprawdopodobnym fantastycznym snem.

Służba, uprzedzona depeszą, powitała mię tym samym, co i dawniej, milczącym ukłonem — po-koje tą samą głuchą ciszą i powagą.

Pośród tych niemych świadków goryczy i czczych tryumfów czuję opływającą mię zwolna dawną, szarą, bezduszną atmosferę, którą stwarzałem przez całe lata niszczyielskiej pracy moich zaprzeczeń.

Tak, tu będzie najlepiej...

Mam wrażenie, że po długotrwałej pięknej podróży, w której statek mój niespodzianie rozstrząskał się o zdradziecką rafę, dostałem się rozbitkiem na zbawczy jakiś pokład i rozpoznaję własną, umarłą załogę.

Załogę okrętu — widma.

Z płócien obrazów patrzę znów na mnie znajome mi postacie o wzroku sceptycznym i szyderskim, jakby współzyciem coś ze mnie na zawsze sobie przyswoiły. Te same krzewy u okien, od ros

jesiennych wilgotne, szemrzą mi cichym, jęklwym szelestem — ta sama długa bezgwiazdka noc dręczy koszmarem bezsenności.

Witają mnie dziś na nowo — przyjmują zbiega pod skrzydła okrutnej swojej pieszczoty. Poprząsają braterstwo wieczne — aż do wrót śmierci.

Dobrze mi tu — wśród tych przyjaciół. Towarzystwom moim wiernym winienem pożegnanie. Zdradziłem ich na krótko.

Myślę dzisiaj o Stefie. Czuję niepojęte uspokojenie jakieś i nic mi już nie trwoży.

Dni moje się już kończą i przeznaczeniu swemu poddaję się posłusznie. Jej mi żal tylko. Wyrażałem jej przecież, bezwzględnie wprawdzie, krzywdę wielką. Pozwoliłem, aby w tym biednym sercu zbudziło się uczucie, dałem mu siłę miłości, w promieniach jej ogrzałem wygasłe swoje serce i niszczyłem dzisiaj wszystko.

Zadam jej teraz cios nowy. Będzie to ból ostatni, ale okrutny. Wiem jednak, że stanie się to jej wyzwoleniem. Ona przetrwa. Pokona swą rozpacz, uleczy się.

Tyle w niej jeszcze młodości...

To, co czynię, będzie może choć w części aktem ekspiacyi — jedynym może dobrodziejstwem, jakie wyświadczycie jej mogę.

Widzę ją przed oczyma dobrą, uśmiechniętą... może nawet naprawdę kochaną.

Czy ja wiem?

Smutno mi dzisiaj i tęskno, a w sercu tklivość i lzy.

Chciałbym ją jeszcze pożegnać... jeszcze raz ujrzeć naprawdę... Moją Stefę... Jedyne promienie radości mego życia...

Dawno powziętą decyzję wciąż odraczam. Chwytam się jakichś bezładnych strzępów myśli — na usta cisną się słowa — słowa dziwne, bez związku.

Jakże mam odejść — nie pożegnałem jej przecież. Nie prosiłem o przebaczenie.

Nie chcę jej pisać listu — nie chcę się tą ostatnią pospolitością zabrukać w jej pamięci... a jednak...

Może zostawię jej ten dziennik — może tą drogą przemówię do niej raz jeszcze — może przekonam i ukoję mową mej duszy.

Może mi wtedy wybaczy w imię tego, z kim wierzył — a czyniąc źle, czyniłem bez świadomości.

Do Ciebie, Stefo, piszę... Tobie i Twej przeczyszej duszy powierzam słowa ostatnie, — przed Tobą w kartach tych zdaję rachunek i czynię spowiedź moją.

Do Twego serca zanoszę prośbę wielką: Bądź mężną, wytrwaj!

I przebacz, że od Ciebie odchodzę.

Ty mię zrozumiesz, Ty pojdziesz, że inaczej nie mogłem...

Daruj mi zło, które na drogę Twego życia dziś rzucam i zapomnij. Zapomnij, że się w Twe serce wkradł, jak oszust, że Ci kłamałem miłość, że sięgnąłem po szczęście, które nie do mnie należy.

Daruj, że muszę Ci zadać tę boleść ostatnią, że chcę, abyś wiedziała prawdę w całej nagości i bezwstydy.

Ja zaślubiłem nie Ciebie, lecz swoją młodość.

Uwierzyłem w zmartwychwstanie rzeczy, umarłych bezpowrotnie i — pomyliłem się.

Ja, zrujnowany bankrut, poważylem się na

wystawienie zbyt poważnych względem życia zobowiązań.

Dziś termin — trzeba płacić.

Odchodzę w chwili dla Ciebie trudnej, ale wiem, że nie umiałbym już być Ci jakkolwiek pomocą. Dziecina nasza nie miałaby we mnie ojca przewodnika. Nad jej kołyską stałby trup.

Odchodzę teraz, by nawet na jej dzieciństwo nie padł cień mego przekłętego żywota.

Beze mnie będzie Ci łatwiej. Kamień, który zagradza drogę, stoczy się w przepaść bez echa i na zawsze.

Są chwile, kiedy wiem nieomylnie, że Cię kochałem naprawdę, że kochałem całą mocą swego męskiego serca, kochałem do szaleństwa...

Ciebie i tylko Ciebie...

Wiem jednak także, że chociaż wierzę dziś, zwątpię jutro.

I dlatego żyć dłużej stało się dla mnie niepodobieństwem. Nie jestem sobą, Ty to zrozumiesz, Stefo.

Patrzyłaś na moją mękę, na walkę, jaką toczyłem z sobą od tak dawna. Widziałaś, jak się zmagam z duszą mą strupieszalą, zatrutą — i ile cierpiało moje serce za tę pospolitą cierpkosć, za objawy brutalności, których Ci w momentach

obłądu nie umiałem oszczędzić, — choć wiedziałem, jak straszną popełniam niegodziwość.

Widziałaś walkę człowieka z trucizną.

»Sarcoma jest chorobą straszną. Trzeba ją leczyć póki czas. Przeoczony moment walki mści się. I wtedy jest... zapóźno«.

Tak: zapóźno.

I mój lekarz, Stefo, przyszedł zapóźno. Przyszedł wówczas, gdy trucizna stała się już moją treścią, kiedy objawy zdrowia były złudzeniem — echem młodości.

Przefrymarczyłem moją duszę, sprzedałem ją za garść frazesów, za pychę wyższości, która przywiodła mnie nad Rubikon cynizmu, choć unikałem go, jak trądu, przez wszystkie moje męskie lata rozumne.

Więc odejść muszę. A żegnam tylko Ciebie, bo nie mam nic i nikogo, prócz Ciebie jednej jedynej. Żegnam wdzięcznością wielką, jak nędzarz, któregoś po królewsku obdarowała. Żegnam Cię, któraś była jedynym jasnym promieniem mego smutnego, pochmurnego życia. Zaświecił mi on o zachodzie, na schyłku, a jednak tyle radości, tyle pogody wniósł w to gasnące serce.

Ja wiem, że Ty mi przebaczysz i nie poczujesz za występki tego, co czynię.

Nie będziesz miała żalu do mnie.

I po mnie — bo nie warto.

Ja byłem przecież człowiek niepotrzebny...

I tylko jedno: podaj mi w duchu raz jeszcze swoją dłoń dobrą, krzepiącą i siostrzaną — nie odtrącaj... bo idę w drogę daleką i nieznaną.

Mój śnie promienny — jedyny i ostatni — Stefo — moja młodości!

Warszawa 1918 r.

K O N I E C.